Prenumerata roczna wynosi **10 zł**
Numer pojedynczy **3 „**

Nr. 1.

ROCZNIKI

OBYDWÓCH ZGROMADZEŃ

Św. WINCENTEGO a PAULO

ROK XXX.



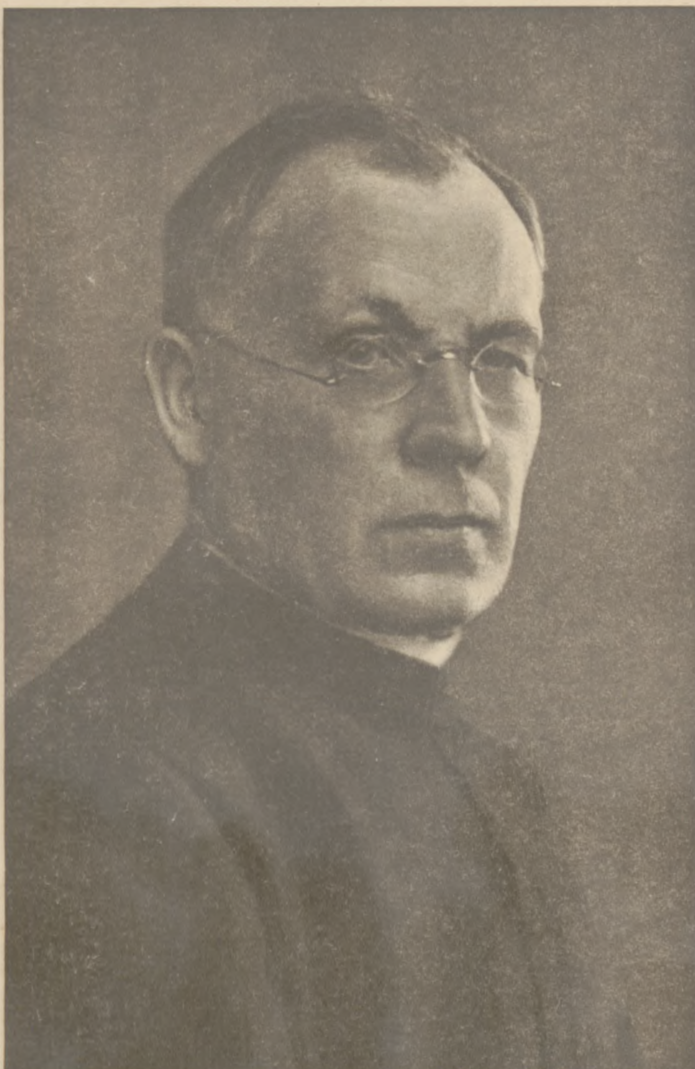
WYDAWNICTWO I NAKŁAD XX. MISJONARZY
KRAKÓW, STRADOM 4
1928.

TREŚĆ ZESZYTU.

Prenumerata r o c z n a 10 zł. (2 dol.) — Pojedynczy numer 3 złote.

Wpłata na konto czekowe Nr. 150.142 ks. Król. Kraków

Drukarnia Związkowa w Krakowie.



W dniu Imienin, spieszy z życzeniami

Redakcja R. O. Z.

Działalność Księży Misjonarzy domu Wileńskiego na Litwie i w samem Wilnie za czasów dawnej Rzeczypospolitej.

(Ciąg dalszy).

9. X. Raczyński (1800). (C. d.)

I w tej tak ważnej chwili jeszcze inni zdawali się zasięgać rady od umarłych i prace swoje dostosowywać do ubiegłej przeszłości jużto dlatego, że autorytatywnego rozstrzygnięcia ze strony rezydujących podówczas w Rzymie, a sprawujących po myśli ówczesnego papieża Piusa VII. swoją jurysdykcję także nad prowincją litewską, wikarjuszy generalnych Zgromadzenia [1]) — opieka nad Misjonarzami we Francji, na misjach i Siostrami Miłosierdzia stale należała do wikarjusza generalnego z siedzibą w Paryżu — w tych czasach ustawicznych niepokojów otrzymać było bardzo trudno, jużto dlatego, że tu na Litwie należało działać w obliczu ukazów, wzbraniających ordynarjuszom surowo odnoszenia się do jakiegokolwiek czynnika pozakrajowego. Przestrzegania tego rodzaju ukazów pilnowały ustanawiane przez rząd newski kolegja, poczynając

[1]) Bardzo dobrze wyszczególnił kolejne następstwo i lata urzędowania wszystkich wikarjuszy generalnych Zgromadzenia tak francuskich jak włoskich X. Weissmann w artykule K. P. str. 31. Drobne odchylenia co do jurysdykcji i zależności ostatnich od pierwszych nastąpiło w niektórych latach. Por. Répertoire historique, o. c. VI. Listes chronologique des Principaux Actes du S. Siège p. 80—82. Zato X. Gaworzewski w K. P. str. 115, a może i 84 wspomina o generale Zgromadzenia, podczas kiedy już od 4 lat ostatni Generał Cayla de La Garde († 12 II. 1800) spał spokojnym snem w cmentarnej ziemi.

od Kolegjum rzymsko-katolickiego aż do Urzędu Głównego Interesów Obcych Wyznań. Nic dziwnego, że pojawiające się sporadycznie rozporządzenia rządowe w celu uniezależnienia zwierzchności zakonów i zgromadzeń w tych stronach od zagranicy, a w rzeczy samej zdążające nibyto do podporządkowania jej metropolicie mohylewskiemu, a właściwie po przez różne kolegja „Nayjaśniejszemu, Naypotężniejszemu, Wielkiemu Monarsze Imperatorowi Samowładnącemu całą Rosyą“, mniej lub więcej dotyczyły także XX. Misjonarzy, którzy postępując przy dalszej ekspanzji na drodze swojego rozwoju, względną zrazu cieszyli się jeszcze swobodą. Problemów tu nie mnożono, ale zato rzeczywistość, aczkolwiek czarna i chmurna, wszystkich pod przewodem gasnącego już starca X. Pohla do wielkich poczynań zapalała i porywała tak dla dobra Kościoła, jakoteż narodu. Pomijamy tu pewną niemiłą utarczkę więcej wewnętrzną, o której wspomina X. Stanisław Szantyr, pierwszy assesor rzymsko-katolickiego kolegjum, autor *Wiadomości do Dziejów Kościoła i Religii Katolickiej w krajach panowaniu rosyjskiemu podległych* [1]), korzystający skrzętnie z zapisków urzędowych, dokumentów, ale pod zbyt rozwartym kątem własnego widzenia, a sam rzucający się do podnóżka tronu Najm. Pana [2]). Pewne przesilenie przechodziła wspomniana już sprawa ustanowienia udzielnego superjora na Górze Zbawiciela, którą na konwencie prowincjonalnym, zbierającym się w myśl uchwał Konwentu z roku 1814 [3]), (poczynając od następnego roku 1815) co trzy lata w Wilnie przedewszystkiem dla wyboru wizytatora jako „Naczelnika“ prowincji, gdyż tak postanawiały przepisy rządowe, należało przedyskutować i powziąć odnośną uchwałę obowiązującą. Otóż tak się też stało.

---

1) (Poznań 1843) Cz. I. R. XV. str. 383.

2) Ibid. Cz. I. R. X. str. 264.

3) Decreta in Conventu Provincionali Congregationis Missionis *Provinciae Litvaniae* in Domo Vilnensi ad Montem SSmi Salvatoris diebus Septembris 1814 celebrato statuta.



Kościół św. Krzyża w Warszawie.

Pierwszy konwent, który obradował we wrześniu r. 1814, był wprawdzie bez kontaktu ze Zwierzchnością Zgromadzenia, co było tak teraz, jak i później niemożliwem, lecz przestrzegał mimo wszystko jak najściślej Konstytucji. Konwent ten ustanowił tylko wicewizytatora z prawem następstwa po X. Pohlu w osobie dotychczasowego superjora oświejskiego X. Błażeja Fabinowicza[1]), a stanowczo się jednak sprzeciwił kreacji jakiegokolwiek udzielnego superjora, opierając swoje uchwały na postanowieniach konwentów generalnych z lat 1711 i 1724, uchylających postanowienia konwentów prowincji polskiej w podobnej materji.

Atoli tę swoją uchwałę cofnął już konwent z r. 1818, a ustanowienie udzielnego superjora pozostawił woli wizytatora, orzekając: ARD. Visitatorem seorsivum domus Vilnensis Montis Salvatoris constituere superiorem, si et quando ei placuerit[2]), powracając w ten sposób do koncepcji X. Pohla, który za przykładem X. Śliwickiego, ustanawiającego w ostatnich latach swoich X. Siemieńskiego superjorem świętokrzyskiego domu[3]), także już w roku 1800 był X. Tymoteuszowi Tomaszowi Raczyńskiemu, po powrocie jego z Moskwy, aczkolwiek na jeden tylko rok, oddał superjorstwo powyższego domu. Zwyczaj ten przetrwał aż do r. 1830, kiedyto wybrany na konwencie prowincjonalnym na wizytatora litewskiej prowincji dotychczasowy superjor „Montis Salvatoris“ X. Józef Bohdanowicz patentu na superjora nikomu nie wygotował, ale wbrew wszelkiemu oczekiwaniu uczestników konwentu i członków domu obydwa urzędy tak wizytatora (1830—42/3) jak i superjora (1822—44/6), dla własnej osoby zachował.

---

[1]) Ibid. § II.

[2]) Decreta Conventus Provincialis a. 1818 § IIIb.

[3]) Tableau de la Province de la Congrégation de la Mission en Pologne... en 1774 avant l' assamblée provinciale de Pologne par M. Śliwicki. (Bardzo cenny to rękopis samego X. Sliwickiego, mieszczący się w Relationes Visitatorum de statu Provinciae).



Lipowiec.

Jak się okazuje, byli to wszyscy superiores a latere, a chociaż lata ich urzędowania szybko niby lotna strzała przemijały, przecież wobec edyktu świeckiej przemocy o zatarciu ich imienia, czyny ich wspomnieć i prace uczcić wypada. Dlatego choć słów kilka poświęcamy X. Tymoteuszowi Tomaszowi Raczyńskiemu (1800), X. Wojciechowi Czerechowskiemu (1806—09), X. Józefowi Stankonowiczowi (1810—13), X. Błażejowi Fabinowiczowi (1814 do 1815), X. Michałowi Szeliskiemu (1818), X. Józefowi Laudańskiemu (1818—22) i X. Józefowi Bohdanowiczowi (1822—30—42/6).

X. Tymoteusz Tomasz Raczyński, urodził się dnia 3 maja 1753 [1]) w podlaskim Międzyrzeczu, głośnem miasteczku powiatowem i bardzo intratnej parafji, po największej części trzymanej przez samych biskupów. Innego widać zrazu próbował zawodu, skoro dopiero w dwudziestym czwartym roku życia swego opuszczając świat, przyjętym został u św. Krzyża w Warszawie. Tak też było rzeczywiście, bo wprost ze szkół powiatowych przystał łatwo zapalny młodzian do konfederacji Barskiej, stając się jej gorliwym szermierzem. Lecz z biegiem czasu sprzykrzył sobie światowe targi i inną, już duchową rozpoczął walkę, przez wstąpienie do Zgromadzenia w dniu 19 stycznia 1777 r. Odtąd przez szereg lat gorliwie zaprawiał duszę swoją i umysł do spełnienia zadań i celów swego nowego powołania, przejmując z zapałem podawaną sobie naukę i cnotę, przyczem uwijające się jeszcze podówczas po świętokrzyskim domu postacie X. Mikołaja Siemieńskiego, Wizytatora prowincji, i X. Andrzeja Pohla, wyszłych ze szkoły X. Śliwickiego, nie pozo-

---

[1]) Cathalogus domorum et personarum Congregationis Missionis str. 62 nr. 562; Catalogue du personnel XVII et XVIII siècles str. 514, oraz Księga Aktów Zejścia na rok 1816 dla parafji Wszystkich Świętych w Krakowie str. 19 L. 34. X. Hieronimowi Gintrowskiemu, który jako wielki i gruntowny znawca dziejów poszczególnych domów Zgromadzenia postać X. Raczyńskiego mi oświetlił i mimowoli nawet naprowadził na traktujące o nim źródła, serdecznie tu dziękuję.

stały bez wpływu na jego podatne serce i ochotną duszę, którą niegdyś dźwięk surmy do boju, a obecnie miły powiew Łaski Bożej do nadprzyrodzonych poczynań nastrajał.

Po wyświęceniu na kapłana poszedł z woli swoich przełożonych do seminarjum Poznańskiego, które ówczesny biskup poznański X. Antoni Okęcki, po nie bardzo pomyślnym okresie tegoż seminarjum i za OO. Jezuitów i za profesorów ze szkoły Lubrańskiego [1]), w roku 1781 Zgromadzeniu Księży Misjonarzy w zarząd oddał [2]). Razem z pierwszym prefektem X. Maciejem Krzywańskim (1781—1802) i X. Wojciechem Piątkiewiczem wielkiego dokonał dzieła dla podniesienia seminarjum moralnie i materjalnie. I jako profesor wykładający z wielkiem powodzeniem historję i Teologję św., zapewnie moralną, i jako pedagog, rozumiejący przedewszystkiem młode serca wychowanków, zyskiwał wszędzie szacunek i przywiązanie. Lecz już w roku 1787 wyrwano go z Poznania.

W tym właśnie czasie przyjęło Zgromadzenie XX. Misjonarzy na życzenie X. Siestrzeńcewicza, arcybiskupa

[1]) Cfr. X. Dylla, Działalność Oświatowa Zgromadzenia Księży Misjonarzy w Polsce w KP. (183—220) str. 205.

[2]) Cfr. X. Stanisław Kalla, Seminaryum Poznańskie za rządów X. Krzywańskiego. Piękny to i gruntowny rys historyczny, zamieszczony w „Rocznikach“ obydwóch Zgromadzeń św. Wincentego a Paulo R. XX. (1914) nr. 3 str. 194—203.

Według Rkp. Konnotacya do Historyi Seminaryum Poznańskiego, ułożonej i spisanej przez X. Pawła Rzymskiego, profesora w tymże seminarjum i późniejszego wizytatora prowincji polskiej (1826—33), w Cz. I. fol. 12vo, wprowadził pierwszych Misjonarzy: XX. Krzywańskiego, Piątkiewicza i Raczyńskiego do seminarjum X. kanonik Bronikowski jako prowizor dnia 2 listopada 1781, rządy zaś w seminarjum oddał im w imieniu biskupa ordynarjusza X. Kokosowski, oficjał generalny dnia 5 listopada. Natomiast erekcja formalna nastąpiła dopiero dnia 15. września 1784 r. przez samego biskupa, który w tymże dniu podał swemu seminarjum nową ordynację (ibid. 16 vo).

X. Gaworzewski, Zgromadzenie Księży Misjonarzy w Polsce w KP. 110/111 X. Dylla, tamże 205.

mohylewskiego misję astrachańską [1]) wysyłając tamże obok innego kapłana także X. Raczyńskiego dla pracy przedewszystkiem nad katolikami. Przez Iłłuksztę, Mohylew, gdzie po kilka miesięcy strawił na przygotowanie się do prac duszpasterskich i misyjnych, udał się z nowym zasobem wiedzy nietylko teoretycznej, lecz i praktycznej do swojej nowej placówki. Nie tyle, że był wzrostu bardzo wielkiego i budowy klasycznej, ile raczej, że gorliwość dla sprawy Bożej i zbawienia dusz go unosiła, zwiedził w swoich wycieczkach misyjnych pomijając już pracę w Astrahaniu, kraje przed- i zawołgańskie, Kaukaz, cały Krym, a osobliwie Gruzję i Mingrelję, oraz Bukareszt, gdzie zasłynął jako prawdziwy apostoł Ewangelji Chrystusowej. Długie lata wspominano tu o jego pracach, a wdzięczność bodaj największą zachowali dla niego Ormjanie. Następnie przez 7 lat był proboszczem w Moskwie 1794—1800.

W roku 1800 powraca, prawdopodobnie po zwinięciu tak bardzo pożytecznej pracy misyjnej, do Wilna i przez jeden mniejwięcej rok sprawuje rządy superjora na Górze Zbawiciela. Wilno jednak nie pociągało go, a odmienne pojmowania zadań swojego urzędu sprawiło, że wnet oddał X. Pohlowi jako wizytatorowi patent superjorski i razem z X. Stanisławem Bieńkowskim podążył do swoich braci w Koronie, aby z nimi dzielić trudy i znoje. Nie zwlekając długo, chętnie przeniósł się do Krakowa, aby w powiększonem seminarjum diecezjalnym, mieszczącym się nadal po złączeniu wszystkich trzech seminarjów stradomskiego, zamkowego i akademickiego w gmachach misjonarskich na Stra-

---

[1]) Mèmoires, I. 678; KP. 128, Konnotacya do Historyi Seminaryum Poznańskiego fol. 19vo. Po Misjonarzach objęli dopiero w roku 1805 OO. Jezuici misję astrachańską (1805—1827) i to nie tyle na prośby metropolity, ile raczej na żądanie cara Aleksandra I, który ówczesnemu generałowi Zakonu O. Gruberowi nalegania katolików astrachańskich przesłał do pozytywnego załatwienia. Cfr. X. Stanisław Załęski, Jezuici w Polsce (Kraków 1906) V. Część I § 45 Misja w Astrahanie 406—408.

domiu [1]), oddać się zawodowi nauczania młodzieży duchownej w teologji moralnej, a jako dyrektor (ojciec duchowny) seminarjum czuwać nad tymi, „których sam Bóg oddzielił od wszystkiego ludu i przyłączył sobie, aby Mu służyli w służbie przybytku“ Num. XVI. 9.

Cicho płynęły wśród pracy i następne jego lata, które stanowiły wtórny okres działalności profesorskiej, a ostatni jego życia. Skończył je dnia 13 marca 1816 wczesnym rankiem o godzinie $4^1/_2$. W katakumbach misjonarskiego kościoła na Stradomiu w krypcie pod wielkim ołtarzem znalazł ostatni swój spoczynek po trudach i znojach doczesnej iście pielgrzymki. W krótkich i treściwych słowach obwieściła „Gazeta Krakowska“ [2]) jego zgon, pisząc: „X. Tymoteusz Raczyński, Xięży Świeckich Zgromadzenia Missionarzów Kapłan, były Apostoł przed i za Wołgą do granic Persji, Gruzynii, Mingrelii, i Bucharestu, potem w mieście Moskwie proboszcz lat siedm, a nareszcie w Seminaryum Diecezyalnym Krakowskim Profesor, umarł dnia 13 marca 1816 w 64 r. życia“ — a misjonarski kronikarz, czyniąc utartym zwyczajem chronologiczny zapisek o fakcie zejścia jego z doczesności do domu wieczności, proste i stosowne do jego życia kładzie epitafium: „*Timotheus Thomas Raczyński, obiit in Stradom 13 martii 1816 an. sepultusque est ibidem in Ecclesia Congregationis. Fuit Missionarius et Rector Ecclesiae Mosquae et Astrahani etc. Director et Professor S. D. Stradomiensis eruditus et pius* [3]).

---

[1]) Cfr. X. Bączkowicz. Z dziejów Domu stradomskiego III. Seminarjum duchowne na Stradomiu. 1. Połączenie Seminarjów krakowskich w jeden Zakład na Stradomiu (1801—1901) w „Rocznikach o. Zgr.“ R. XXV (1923) nr. 1 str. 10—16.

[2]) Dodatek do Nr. 24 str. 295.

[3]) Cathalogus subjectorum Domus Strad.

Z misji w Stanach Zjednoczonych Ameryki Półn.

(Ciąg dalszy).

Wyczytałem w „Meteorze“, piśmie naszych kleryków, że interesuje ich ogólnie sprawa misyjna. Tem zachęcony, oraz by się nie powtarzać, przed opisem szczegółowym niektórych naszych misyj, podam garść wiadomości ogólnych, mianowicie o obecnych naszych tu zadaniach przy głoszeniu nauk misyjnych.

Co do rozkładu ćwiczeń misyjnych, to jest on ten sam co dawniej: rano koło 5-tej modlitwy, krótka nauka rozdzielanie Komunji św. i Msza św. Jeżeli jest trzech misjonarzy, to drugi odprawia mszę św. o godz. 7-mej, a trzeci sumę o godz. 9-tej. Po sumie jest nauka misyjna. Na msze św. i nauki ranne przez całą misję mogą chodzić wszystkie stany, o ile im zajęcia na to pozwalają. Zazwyczaj na ranne ćwiczenia przychodzi od $^1/_{10}$ do $^1/_5$ parafjan, przeważnie starszych, nieuczęszczających do zajęć. Popołudniu zaś, po godz. 3 jest krótkie nabożeństwo i nauka dla dzieci szkolnych. Główne ćwiczenia misyjne są wieczorem koło $7^1/_2$ i to w pierwszym tygodniu dla niewiast i panien, a w drugim dla mężów i kawalerów. Kwandrans przed nabożeństwem wieczorem śpiewa się z ludźmi religijne pieśni, tłumaczy się porządek misji i te tematy, które z braku czasu nie są poruszane na wieczornych kazaniach. Potem jest niedługie nabożeństwo z wystawieniem N. Sakramentu, poczem dłuższe, wyczerpujące kazanie misyjne, a po kazaniu pacierze wieczorne. Pamiątki misyjne poświęca się po każdem kazaniu. Do szkaplerzy przyjmuje się co czwartek wieczorem, a do Cudownego Medalika co sobotę wieczorem. Błogosławień-

stwa Apostolskiego udziela się w jedną sobotę wieczorem niewiastom, a w drugą mężczyznom. W piątki wieczorem głosi się po dwa kazania stanowe: jedno w kościele dla osób w małżeństwie żyjących, a drugie na hali lub w szkole dla osób stanu wolnego. Misja zwyczajnie trwa 15 dni, w obrębie 3 niedziel, tak, że zaczyna się w jedną, a kończy w trzecią. W mniejszych parafjach poświęca się misji dni 10, po 5 dla każdego stanu. Zaczyna się misję w niedzielę na sumie dla wszystkich, poczem wieczorem dla samych niewiast. W drugą niedzielę nabożeństwa i nauki do południa dla wszystkich, a wieczorem dla mężczyzn. W trzecią niedzielę przez cały dzień, końcowe nabożeństwa dla wszystkich, tj.: po sumie kazanie o Matce Najśw., procesja i ofiarowanie parafji Matce Najśw.; popołudniu błogosławienie dzieci i wkładanie im Cudownego Medalika, a wieczorem Wystawienie N. Sakramentu, Litanja do WW. Świętych, poświęcenie w kościele Krzyża misyjnego, kazanie ostatnie i adoracja Krzyża. Krzyż misyjny opatrzony Pasyjką święci się tutaj przy balaskach, a potem stawia się go gdzieś w kościele. Dla dzieci szkolnych błogosławieństwo i wkładanie Cudownego Medalika urządza się w którymś dniu tygodnia. Nauki głosi się im codziennie, z wyjątkiem sobót, bo w sobotę w Stanach Zjedn. nauki szkolnej niema, by dzieci mogły pomóc rodzicom w zajęciach domowych. W piątki popołudniu odprawia się drogę Krzyżową, w której uczestniczą dzieci i starsi, wolni od zajęć. W przedostatni dzień misji Misjonarze odprawiają nabożeństwo żałobne za zmarłych parafjan, z wigiljami, konduktem i kazaniem, na które dość sporo ludzi przybywa. W którymś dniu tygodnia święci się wodę Św. Wincentego z kazaniem o naszym Św. Założycielu, a w innym dniu odwiedza się po domach i szpitalach tych chorych, którzy nie mogli brać udziału w misji. Spowiadać zaczynamy w oba tygodnie od wtorków, a spowiadamy od 8-mej rano, popołudniu od $3^1/_2$ i wieczorem od 9-tej.

Tematy nauk misyjnych można podzielić na 3 klasy: 1) odnoszące się do dobrego przygotowania do Sakramentu

Pokuty; 2) tłumaczące prawdy wiary, zwłaszcza zagrożone w danej parafji; 3) umoralniające. Dawniej, przed zmartwychwstaniem Ojczyzny, błogosławiono nasze Zgromadzenie, nie za zastęp wielkich kaznodziei, lecz za jak najprzystępniejsze pouczanie ludu o zasadach wiary i cnoty. Dziś to samo nam przyświeca i zdaje się, że z tego samego powodu czujemy na sobie błogosławieństwo nieba i ziemi. Nauki przygotowujące do dobrej Spowiedzi św., to tradycja i charakterystyczna cecha naszych misyj. Tam, gdzie misja rzadko się odbywa, zwraca się uwagę szczególną na warunek szczerej Spowiedzi św.; tam zaś, gdzie misje co kilka lat się urządza, jak tutaj, i gdzie ludzie o warunkach dobrej Spowiedzi św. są pouczeni, zwraca się uwagę na pojęcie grzechu, który jest odwróceniem się od Boga i zbawienia — i na to, co jest treścią oderwania się od grzechu, a nawrócenia do Boga przez żal i obranie niezawodzących środków poprawy. Takie otwieranie drogi łasce na wstępie do serc oczyszczanych z grzechu, a zarazem dawanie pola jak największej skuteczności tej łasce, po dodaniu osobistych wysiłków misjonarza: umysłu, serca i przykładu, daje nieomylny, błogosławiony skutek misjom. Potrzeby wyświetlania prawd i pobudek moralnych, stosownie do dzisiejszych niedomagań i chorób owczarni Chrystusowej są prawie wszędzie te same, a znaleść je można w intencji Kościoła, ustanawiającego nowe święto Chrystusa-Króla i w encyklice: „Quas primas“ o tem święcie traktującej. Myśli tej encykliki powinny tętnić w każdem kazaniu misyjnem, o ile misje mają być dziś lekarstwem na choroby niewiary, zwłaszcza w tych stronach, gdzie oświata zatoczyła najszersze kręgi, a przybierając pozory postępu w zarodku nieraz religję niszczy. Zapędy odchrześcjanienia wchodzą także już w ogół naszego wychodztwa, opanowując zwłaszcza tych, którzy stanęli na wyższym szczeblu inteligencji lub dobrobytu. Urabia bowiem i uspokaja sumienie przy uczynkach nie wiara, ale zasady świata, między któremi jest jedna, poparta prawem cywilnem, że nie wolno nikomu przeszkadzać w jego interesie. I ta potrafi się wkraść do praktyki wiary.

Nasi starsi rodacy, którzy w tej zasadzie nie wyrośli, nieraz, wchodząc w obowiązki zarządzania parafją, wywoływali zaburzenia, a nawet powstawanie niezależnych kościołów. Dziś tego zła coraz mniej, bo już ogół nawykły do zasady swego interesu, mniej robi proboszczom kłopotów, owszem składa nieraz wielkie ofiary na cele kościelne. W praktyce tak się filozofuje: ja popieram i nie przeszkadzam księdzu w jego interesie, niech ksiądz nie wgląda, jakie są moje interesa. Byznes czyli interes niech pozostaje zawsze interesem. Nieraz nakaz religji kończy się przed biurem, przed progiem sądu i domu rodzinnego i t. d. Niedawno wyszła na jaw sprawa miljonowych przekupstw w robotach miejskich w N. Yorku, gdzie przy rządzie byli katolicy. Sumienie nie wzdryga się nawet przed krzywoprzysięstwem, gdy wymaga tego interes; świętość rodziny cynicznie obchodzona.

To trzeba mieć na oku, jeżeli się nie chce oślepnąć na widok tutejszej organizacji kościelnej, podziwianej przez społeczeństwa katolickie, trzeba też pamiętać i o otoczeniu, gdy się chce żywić wiarę wśród naszych rodaków. Dechrystjanizacji sprzyja tu: zmaterjalizowanie kultury — ujmowanie rzeczy (nieraz świętych) pod kątem interesu i użycia — łatwość używania — zatrata powagi rodziców wskutek mody i kinoteatrów, silących się na efekty schlebiające naturze — zatrata godności przykładnego ojca i syna, przykładnej matki i córki, — rozswawolenie dzieci także, że ich kaprysy bardzo często rządzą rodzicami, wobec których rodzice są bezbronni — zbytnie folgowanie zachciankom i przestępstwom kobiet — hodowanie psów i innych stworzeń zamiast dzieci — automobil, meble i potrzeby mody, pożerają środki przeznaczone przez Stwórcę na utrzymanie rodziny. Stąd wymówki i przemyślne sposoby do omijania prawa natury, gładzenia potomstwa, zwłaszcza, że nieraz ciasnota mieszkań, niepowołane publiczne dysputy o kontroli urodzeń i sprawy rozwodowe — ośmieszają świętość rodziny Chrystusowej. Wiadomo, że 18 miljonów katolików mieszka tu wśród 60 miljonów bezwyznaniowców i 40 miljonów innowierców, co

łatwo wpaja w umysły przekonanie, że każda religja jest dobrą, albo że prawdy niema, tembardziej, gdy tolerancja jest zastrzeżona przez konstytucję państwa. Wiadomo jednak, że Bóg naznacza niekiedy czas próby, przypuszcza ogień doświadczający szlachetność kruszcu, dopuszcza chwile wyboru między Chrystusem a Barabaszem. Na chwilę tego wyboru chce przygotować encyklika o Chrystusie Królu. W myśl tej encykliki gruntować należy sumienia wiernych i zaprawiać do praktyk wiary przez misje, zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych. Jak zło i niewiara, umie się do wszystkich warunków dostosowywać, przybierać pozory cnoty, wiedzy, sztuki, piękna, prawdy, tak trzeba, by misjonarz umiał zasady Chrystusa przystosować do wszystkich warunków; a ponadto być żywym przykładem chrześcijańskiego postępowania w życiu codziennem: czy to w biurze, czy w szkole, czy we fabryce itp. (biorąc pod uwagę warunki tutejsze pracy misyjnej). Zrozumienie potrzeb chwili żąda, by w poczuciu tego, co się głosi i wobec umiejętności przyczajania się źródła złego, szedł dziś Misjonarz na pracę wsparty mocą własnej modlitwy i przeświadczeniem, że wielu innych także za nim się modli. Uwagi naszych reguł są i dziś bardzo żywotne: zrzucić z siebie zbroję saulowych, to jest światowych metod pracy, a wziąć 5 gładkich kamyczków Dawida: pięć cnót Zgromadzenia, zwłaszcza prostoty, by wiarę i jej pobudki słuchacze i w samej treści i w ustach Misjonarza poznali, jako samą prawdę, by prawda ta nie budziła wątpliwości, a to Bóg daje tylko prostym. Potrzeba również wiele łagodności, bo dziś kary Boże mniej ludzi wzruszają. Tyle co do warunków i wymogów naszej pracy. A teraz uwagi z kilku misji.

Olyphant Pa (23 stycznia do 6 lutego 1927 r.).

Miasteczko to, około 10.000 mieszkańców liczące, znajduje się prawie na południ.-wschodniem przedmieściu miasta Scranton, stolicy diecezji, i zagłębia twardego węgla, przy kolei Lackawauna, jednej z piękniejszych i najlepiej urządzonych w Stanach Zjedn. Mieszkańcy Olyphant, a między

nimi nasi rodacy, pracują przeważnie w kopalniach węgla, a pewna część zajmuje się handlem. Młodzież pracuje od wczesnych lat: męska w kopalniach, a żeńska w tkackich warsztatach jedwabiu. Jeden nasz rodak jest lekarzem miejskim, a inny komendantem policji, obaj praktykujący katolicy. Niektórzy Polacy mają sklepy, inni przedsiębiorstwa budowlane.

Miasto ma charakter katolicki i słowiański. Duchowo i materjalnie może najlepiej przedstawia się w niem parafja słowacka. Rusini mają dwie cerkwie: jedną katolicką, drugą niezależną. Polacy należeli do niedawna do parafji w Dickson City, a od 7 lat mają parafję polską na miejscu. W tym czasie w parafji polskiej pobudowano suteryny pod nowy kościół, gdzie czasowo odprawia się nabożeństwo; kupiono 2 domki i urządzono w nich plebanję i dom dla SS. Bernardynek, uczących w szkole, zbudowano barakową halę, gdzie urządzano zgromadzenia, a w dnie powszednie wstawiano prowizoryczną ścianę dla pomieszczenia 2 początkowych klas. W czasie misji otwarto nową 6-klasową szkołę z halą w suterynie, tak, że parafja obecnie jest całkowinie zaopatrzona. Wszystko to pociągnęło znaczne koszta, przyjąwszy pod uwagę tylko 200 rodzin polskich. Lecz młody, przykładny i energiczny ks. prob. Wolf ma najlepszą nadzieję spłacenia zaciągniętych długów. Sytuacja jest dość trudna bo roboty w kopalniach często ustają.

Nie było dawniej w djecezji scrantowskiej dążenia do budowania szkół religijnych i narodowych, toteż we wielu parafjach szkół takich niema, z ogromną stratą duchową, co pokaże przyszłość. Szkoły publiczne są, ale że one nie dają tego, co parafjalne, o czem zresztą nieraz już nadmieniono. To też należało w Olyphaut podziwiać, że rodacy nasi, mimo ciężkich warunków, sami o tak ważnej sprawie pomyśleli i ofiarnie ją popierają. Miał nieraz Ks. Proboszcz kłopoty na zebraniach parafjalnych, a nawet w kościele z zarażonymi ambicją, niezależnością i typowem warcholstwem parafjanami. Trzeba wiedzieć, że niektórzyby wcale kościoła nie

znali, gdyby nie to, że niektórzy przy zdobywaniu za pomocą intryg urzędów w stowarzyszeniach kościelnych, nie zaspokajali przy tem swojej ambicji. I stąd ksiądz jak najwzorowszy miewał z ludźmi kłopoty. Dziś, Bogu dzięki, wszyscy się w Olyphaut uspokoili i uczęszczali na misję wcale przykładnie. Parafje polskie są tu bardzo blisko siebie, wskutek czego wielu na misje uczęszczało i z sąsiedzkiej słowackiej parafji. Naogół Słowacy są oświeconym we wierze, spokojnym i pobożnym narodem. Razem z Ks. Błachutą wpływaliśmy w czasie tej misji na posyłanie dzieci do szkoły parafjalnej, na uczęszczanie sumienne na mszę i do Sakramentów św., do czego ludzi ze Starego Kraju trudno rozbudzić, a szczególniej trzeba było prosić, żeby się poprawili z grzechu „majnerskiego“ (t. j. górniczego), z wyrabiania i raczenia się nad miarę domorosłym alkoholem.

Schenectady N. Y. (13—27 lutego 1927 r.).

Miasto to liczy 93.000. Założone w II. połowie 17 w. o 240 km. na półn. zachód od N. Yorku, położone nad dawnym kanałem, łączącym je z rzeką Hudson i zatoką nowojorską. Rodacy nasi pracują przeważnie w fabrykach przyborów elektrycznych. Jest tu 16 katolickich parafij, a wśród nich 2 polskie. W szkołach parafjalnych, jak wszędzie prawie, najwięcej dzieci liczą szkoły polskie, choć moda i tu robi coraz większe spustoszenie. Narazie, co do liczby dzieci, przewyższają Polaków w Stanach Murzyni i Włosi. O Murzynach wspomnieć można, że noszą się modnie, jak ogół, pracują jako portjerzy i kelnerzy, a co do religji, należą przeważnie do sekt protestanckich, choć jest wśród nich i trochę katolików. Nie widać jednak, żeby we wielkich miastach wschodnich stanów odnoszono się do nich wrogo lub separatystycznie. Niektórzy są na wpływowych stanowiskach, ogół ich ma wolny, na równi z białymi, wstęp do niższych i wyższych uczelni. Wielu już przerodziło się w pośrednią rasę Mulatów. Włochów jest znacznie więcej w Stanach niż Polaków. W Nowym Yorku ma być ich do miljona. Pod

względem religijnym jednak bynajmniej nie przodują. Z biedą utrzymują rzadkie swoje parafje, a jeszcze rzadziej katolickie szkoły. Ale trzeba przyznać, że się narodowo trzymają, wspierają w handlu i przemyśle, starają się o zajęcia wolne i na wolnem powietrzu, by nie psuć zdrowia, odżywiają się również więcej jarzynami, z napojów używają przeważnie wytłaczanego w domu wina. Włoski język nieraz rozbrzmiewa w całym wagonie, czego nie można powiedzieć o polskim, bo Polacy się swego języka nieraz wstydzą. Są pewne chwile, gdy Kościół musi służyć Włochowi, który poza chrztem i ślubem może Kościoła nie znał. Jeżeliby takiemu ksiądz odmówił pogrzebu, to przymuszą do tego księdza choćby groźbą bomby, noża, czy rewolweru. Ale pozatem naród pracowity, w pożyciu zgodliwy i uczynny, czego mamy przykład w naszych sąsiadach w Whitestone.

Ks. Sup. Dudziak, Ks. Błachuta i np. przybyliśmy tym razem do parafji św. Wojciecha w Schenectady, gdzie proboszczem jest Ks. J. Ostrowski jeszcze wcale nie stary, a jego pomocnikiem nasz wychowanek z Erie i prezes eryjskiego Stowarzyszenia Alumnów, Ks. Guziełek. W szkole parafjalnej uczą Siostry Zmartwychwstanki. Parafja ta istnieje około 30 lat. W niespełna 10 lat po jej założeniu, Ks. prob. Gogolewski, przy poparciu niektórych ambitnych parafjan i działaczy narodowych, założył przy parafji koedukacyjną szkołę średnią, programem podobną do naszego Kollegjum w Erie. Uczyli w tej szkole płatni przez parafję profesorowie świeccy, między nimi i p. Bobrowski, obecny nasz profesor w Erie. Szkoła była prywatną, absolwenci musieli zdawać osobno egzamina państwowe, więc poparcia mieć nie mogła. Parafja też nie miała dość pieniędzy na jej utrzymanie. To też niedługo potem musiano ją skasować, a budynek oddano na powszechną szkołę parafjalną. W parafji św. Wojciecha były wielkie tarcia między więcej i mniej inteligentnymi, albo pochodzącymi z różnych zaborów rodakami. Jednemu z niedawnych proboszczów podłożono bombę pod plebanję, która wybuchła nadwerężając budynek, ale nie szkodząc zdrowiu

ludzkiemu. Ks. Chmieliński był zasłużonym proboszczem, pospłacał długi po niefortunnej szkole średniej, pracował wśród wstrętów, aż zmęczony i schorowany zrezygnował przed 3 laty. Obecny Proboszcz ma coraz mniej trudności, bo starsze, zacietrzewione pokolenie słabnie, a młodsi wolą pilnować swego interesu. Wielu rodaków hołduje poglądom lewicowym i ci ogniskują się przy wydawanym tu socjalizującym tygodniku polskim. Wśród poprzednich nieporozumień dawali tu nasi konfratrzy misje w 1921 r., niemało mając kłopotów. Obecnie my mieliśmy spokojniejsze warunki i na pierwszy rzut oka skutki pomyślniejsze. Nadspodziewanie wielu obojętnych uczęszczało na misję, naprawiono 2 niewłaściwe małżeństwa, plewiliśmy niezgodę, życie ponad stan i pijaństwo. Oby Bóg dał tu lepszą jeszcze zgodę pomiędzy obiema polskiemi parafjami, wyplenił wolnomyślne teorje co do związków rodzinnych i źle pojętego postępu. Ministranci we wielkiej liczbie wykonują ceremonje i śpiewy kościelne tu ładniej, niż gdzieindziej.

Yonkers N. Y. (6—20 marca 1927 r.).

Miasto to liczy blisko 120.000 mieszk., a położone na północ i tuż obok N. Yorku nad rzeką Hudson, majestatycznie rozlaną wśród wzgórz, ze wspaniałemi rezydencjami obok prostopadłych skał nad rzeką, znanych z rycin w geograficznych podręcznikach pod nazwą „Palisad“. Kwitnie tu handel rozmaitemi produktami, spławianemi rzeką Hudson, materjałami budowlanemi; są tu jedne z większych fabryk cukru i dywanów, gdzie pracują przeważnie nasi rodacy. Mają tu bardzo ładnie zagospodarowaną parafię Słowacy. Rusini małopolscy i zakarpaccy nie pogodzili się i pobudowali osobne cerkwie. Polaków jest około 3000, zajętych pracą, wśród których stan inteligencji jeszcze się nie wytworzył. Jest tylko jeden doktór Fryc z Drohobycza, który współdziała w ruchu narodowym i religijnym. Proboszczem jedynej polskiej parafji jest zacny i poważany za długoletnią pracę, episcopabilis, Ks. Dr. Dworzak, który świeżo wybu-

dował nowy, gotycki kościół, ze szkołą i halami, kosztem ponad 1/2 miljona dolarów, nie bojąc się szczupłych dochodów parafjalnych, dając natomiast miastu jedną z najbardziej imponujących budowli. Przed 3 laty była tu misja, lecz obecnie życzył sobie Ks. Proboszcz, by równocześnie z otwarciem nowego kościoła otwarły się na wejście Boga, i oczyszczone przez misję serca parafjan. Przybyliśmy tu w trzech, t. j.: Ks. Sup. Mazurkiewicz, Ks. Sup. Dudziak i n. p. Na samym początku przeniesiono Najśw. Sakrament i relikwje św. ze starego, szczupłego kościoła do nowego. Może pierwszy raz w tem mieście przechodził w uroczystej procesji Zbawiciel w Najśw. Hostji, wstrzymując ruch uliczny, odbierając cześć od przedstawicieli władzy. Daj Boże Ks. Proboszczowi wyjść z kłopotów materjalnych po spłaceniu długów parafjalnych, bo duchownych kłopotów, zdaje się, Bogu dzięki niema. Pracę mieliśmy tu bardzo miłą. Powszechne nałogi, jak wolnomyślność i zaniedbywanie praktyk religijnych, wstrzymywanie dzieci przed uczęszczaniem do szkoły parafjalnej i pijaństwo trzeba było i tu wypleniać. Pracy naszej P. Bóg błogosławił; wielu bowiem pojednało się z Bogiem.

Wspomniało się w poprzednich sprawozdaniach, jak wielkie tu są koszta utrzymania parafji ze szkołą i jak na każdym kroku proboszcz musi za groszem na ten cel gonić. Otóż i w czasie misji sprzedaje się na zasilenie funduszu parafjalnego pamiątki i książki, ale to wszystko należy do administracji parafji, nie zaś do nas. Dodać jeszcze trzeba, że w szkole parafjalnej w Yonkers SS. Zmartwychwstanki uczą z wielkim pożytkiem. W Yonkers mieliśmy wyjątkowy powód do rozerwania myśli. Mianowicie na przedmieściu jest cmentarz dla ulubionych za życia psów, małp, niedźwiedzi, kotów itp., ale głównie dla psów. Stworzenia te, gdy dojdą krańców żywota, zwożone tu zostają przez swych właścicieli dla pogrzebania, z dalekiego nawet świata. Stawiają im nagrobki z wyliczeniem zdolności, zasług i cnót za życia praktykowanych. Takich cmentarzy na świecie jest kilka.

Brooklyn N. Y. (27 marca — 10 kwietnia 1927 r.).

Brooklyn to dzielnica stanowiąca połowę N. Yorku, na wschód od niej położona, na wyspie Long Island koło 200 km. długiej, a około 25 km. szerokiej, połączona z metropolją 5 mostami dla wszelkich komunikacyj i 5 tunelami koleji podziemnych pod odnogą morską, dzielącą tę wyspę od N. Yorku. Co do ludności, to jak N. York, ma 1/3 Żydów, a dalej po Amerykanach najwięcej jest Włochów. Polacy, w porównaniu z liczbą swoich rodaków w Chicago, Detroit, Buffalo stanowią tu znacznie mniejszy procent ludności; więcej ich jest zaraz po drugiej stronie rzeki Hudson, w stanie New-Jersey, którego miasta nadbrzeżne stanowią z N. Yorkiem coś jak Praga z Warszawą. Parafij polskich jest w N. Yorku cztery, a w Brooklynie samym sześć, a trzy na przedmieściach. Między niemi najlepiej przedstawia się parafja św. Stanisława Kostki, będąca od 1 października 1922 r. pod zarządem polskiej prowincji naszego Zgromadzenia. Najczcig. Ks. Biskup djecezji brooklyńskiej wezwał naszych konfratrów do uspokojenia zaburzeń, powstałych w tej parafji przed 5 laty. Początkowo przez 3 miesiące administrował tą parafją Ks. Sup. Mazurkiewicz, poczem Ks. Biskup powierzył naszym konfratrom tę administrację jeszcze na rok, a widząc zupełne uspokojenie stosunków, oddał nam ją na stałe. Konfratrzy nasi spłacili z dochodów parafjalnych znaczną część długów, teraz zaś zabierają się do budowy nowej szkoły, bo obecnie w klasach jest po 100 i więcej dzieci, a kilkaset naszych polskich dzieci wogóle w szkole parafjalnej nie może znaleźć miejsca. Najpierw był tu superjorem Ks. Ant. Mazurkiewicz, po nim obecny Ks. Wicewizytator, Ks. P. Waszko, który znowu po misji złożył ten urząd razem z proboszczowstwem w ręce Ks. J. Pieniążka. Pracowali tu nadto Ks. Jęczmionka i Ks. Olszówka, a obecnie Ks. W. Kozłowski i Ks. J. Czapla. Misje urządzają nasi konfratrzy co 3 lata. Niepokoje już całkowicie ustały. Kwitnie w tej parafji pobożność; wszyscy gorliwsi parafjanie należą do stowarzyszeń kościel-

nych, do bractwa różańcowego należą także i mężczyźni. Stowarzyszenia młodzieży tak męskiej jak żeńskiej są liczne i złożone z wzorowych członków. Szczególnie miłe wrażenie robi tłum 1200 dzieci szkolnych, rozśpiewanych jednym chórem codziennie w czasie mszy św. Ich religijne i narodowe wyrobienie stawia je między pierwszymi szeregami dziatwy amerykańsko-polskiej. Niemała w tem zasługa dwóch naszych konfratrów, uczących w szkole i SS. Nazaretanek. — Na tem zielonem drzewie miejscowych stosunków jest wszakże jedna sucha gałąź, z natury skazana na uschnięcie, tj. kościół niezależny, w obrębie parafji położony, który traci coraz więcej zwolenników. Jest trochę lewicowców i obojętnych na wszystko. Pewien żal duchowieństwa świeckiego z powodu objęcia przez nas tej parafji także pomału znika. Byłoby ujmą dla konfratrów, gdybyśmy coś nadzwyczajnego o misji pisali, bo oni tam stale misję odprawiają. Do spowiedzi św. przychodzą do nich i rodacy z rozmaitych stron, i obcokrajowcy i siostry zakonne. Każdy z konfratrów, pracujący w tej parafji, wyspowiada rocznie ponad 12.000 wiernych. W czasie misji również mieliśmy obfity połów, tak przy słuchaniu słowa Bożego, jak i przy udzielaniu św. Sakramentów. Wyplenialiśmy u niektórych obojętność w wypełnianiu praktyk religijnych. Wiele w tej parafji stowarzyszeń, trudno jeszcze dodawać stowarzyszenie wstrzemięźliwości, któreby po części miało rację bytu. Dodać tylko trzeba, że nie zanikło tu, jak gdzieindziej, śpiewanie Godzinek. Nauki misyjne głosili tu tym razem: Ks. St. Konieczny, Ks. J. Swałtek i n. p.

Detroit Mich. (24 kwietnia — 8 maja 1927 r.).

Detroit, miasto ciągle wzrastające i liczące dziś do 3 miljonów ludności, stanowi centrum fabryk automobilowych. Położone jest nad drogą wodną, łączącą jezioro Erie z jeziorem Huron. Kto nie może po całej Ameryce i Kanadzie znaleźć roboty wydatnej, tu jej szuka. Młodzież farmerska ze wschodnich stanów, nie rozkochana w żmudnej i ryzykownej co do zysków pracy na roli, a tęskniąca za ruchem

wielkomiejskim i jego uciechami, tutaj właśnie się skupia. Jest tu także centrum szmuglu napojów alkoholowych z Kanady. Miasto rozłożone jest na przestrzeni blisko 70-kilometrowej średnicy. Może to kogo zdziwi, że w krainie drapaczów chmur miasta tak są rozległe. Zaznaczyć trzeba, że to samo jest we wszystkich prawie miastach amerykańskich z wyjątkiem chyba samego bardzo natłoczonego N. Yorku. Są tu jakgdyby dwa przeciwieństwa, lepiej dwie charakterystyczne właściwości miast amerykańskich: centrum miasta, dzielnice handlowe i biurowe są przepełnione drapaczami, jak jest i w Detroit, ale pozatem miasta mają szerokie ulice, skwery, a obok nich domki nieraz parterowe, ogródkiem otoczone. Ruch automobilowy w Detroit chyba największy na świecie, bo jeden automobil przypada na 3—4 osób. Ulice pełne goniących i oczekujących na pasażerów automobilów. Polaków może być do 300.000, liczbę tę trudno jednak sprawdzić. Parafij polskich jest dziś 30, a nowe organizują się. Wielu naszych rodaków jest tu dobrze zagospodarowanych, niektórzy mają własne zakłady przemysłowe; jest sporo polskiej inteligencji i handlowców. Inteligencji polskiej można zarzucić, może mniej tu, niż gdzieindziej, chyba to tylko, że zamało sprawami narodowemi się interesuje. Niestety i wśród duchowieństwa coraz mniej się widzi tego zainteresowania; zdarzają się jednak wyjątki. Ks. Swałtek, Ks. Wiśliński i n. p. odprawialiśmy tym razem misję w parafji św. Tomasza, istniejącej koło 20 lat, ze wspaniałemi budynkami na całym bloku, t. j. między 4 ulicami rozbudowanemi. Z początku była to licha, mieszana parafja. Gdy w tych stronach osiedlało się coraz więcej Polaków, objął tę parafję obecny Ks. proboszcz Skrzycki. Dziś na 1700 dzieci w parafjalnej szkole jest około 150 dzieci innych narodowości. Parafja jest obecnie przeważnie polską; jednak dzieci mają w parafjalnej szkole do wyboru, czy uczyć się języka polskiego czy nie; religję wykłada się w języku angielskim, a nawet w kościele przez połowę nabożeństwa śpiewa się po angielsku, a przez drugą połowę po polsku.

Tygodnik parafjalny wydawany jest po angielsku. Myśmy przez 2 tygodnie odprawiali misję po polsku, a zaraz po naszej zaczęła się misja po angielsku, na którą chodziło wielu Polaków ze zatraconem poczuciem narodowem, zwłaszcza młodsi i tacy, dla których angielszczyzna przedstawia się jako coś wyższego. Tacy nawet co niedzielę chodzą na angielskie nabożeństwa i kazania w tym kościele. Starsi rodacy ze smutkiem to spostrzegają, a nam również było nie wesoło. Notuje się to tylko jako fakt, bez wydawania opinji. Ma to być jakąś koniecznością, która zdaniem często słyszanem w niedługim czasie ogarnie ogół naszych parafij w Stanach Zjednoczonych. Do Detroit przybywa wielu rodaków w poszukiwaniu zarobku bez rodziny i dlatego w niektórych okręgach miasta moralność nie nadzwyczajna. W parafji św. Tomasza, gdzie ludność jest osiadłą, praca w kierunku umoralnienia nie przedstawiała trudności, chyba gdy chodziło o walkę w rzadkich wypadkach z wolnomyślnemi, materjalistycznemi teorjami, przeciwnemi świętości rodziny i ze zwyczajem obierania niedziel na sporty i rozrywki, z opuszczaniem praktyk religijnych. — Gdy się interesowana strona dowie, że rozwodu być nie może, albo że są przeszkody do ślubu, ze spokojnem sercem odchodzi i idzie po ślub czy rozwód cywilny lub do heretyckiego kościoła. Pozatem uważają się za katolików i łożą ofiary pieniężne na sprawy kościelne. Korzystając z uprzejmości Ks. Proboszcza i jego automobilu odwiedziliśmy seminarjum polskie w Orchard Lake o 60 km. odległe, zbudowane przy jeziorku, w parku. Jest tam blisko 10 budynków dość obszernych. Alumnów jest około 500, uczęszczających do szkoły średniej, na filozofję i teologję. Uczą księża i profesorowie świeccy. Program nauk jest ogólno amerykański, z uwzględnieniem języka polskiego i języków klasycznych. Seminarjum to utrzymuje się z ofiar publicznych, albo alumni sami płacą, albo na teologji płaci za nich biskup, a oni obowiązują się zwrócić potem dług biskupowi. Seminarjum to przechodziło trudne warunki, dziś rozwija się coraz lepiej. O jego przyszłości trudno wyrokować, bo Ks. Ks. biskupi

diecezjalni wolą polskich kleryków wychowywać w swoich seminarjach, niż posyłać ich do seminarjum polskiego, od siebie niezależnego, będącego pod jurysdykcją tylko biskupa z Detroit.

New Haven Conn (15—19 maja 1927 r.).

Jest w tem 172.000 mieszkańców liczącem mieście tylko jedna polska parafja, administrowana przez naszych konfratrów z Polski. Tu jest także kolebka rozwoju naszej działalności w Stanach Zjednocz. Misje nasze w tem mieście przypadły na 25-lecie istnienia parafji, jednakże obchód jubileuszowy przeniesiono z różnych powodów na jesień. Parafję tę założył Ks. St. Musiał w kwietniu 1902 r. Wtenczas było w New Haven około 80 rodzin. Dnia 3-go grudnia 1903 roku przyjechali do Stanów Zjedn. pierwsi nasi polscy Konfratrzy: Ks. Głogowski, Ks. Waszko i Ks. Trawniczek. Zaczęli od dania misji u Ks. Nawrockiego w parafji św. Kazimierza w Brooklynie. Po misji przyjechał Ks. Morys Mc Auliffe, obecny biskup sufragan diecezji w Hartford, i zaproponował naszym Konfratrom objęcie parafji w New Haven. Konfratrzy nasi przyjęli tę parafję. Zastali tam dzierżawione 2 domy: jeden, w którym był urządzony prowizoryczny kościół, drugi, w którym mieli mieszkać przez cały rok. Po roku kupili kościół po Szwedach przy St. John Street. Ks. Waszko jeździł co niedzielę do Terriville, gdzie jest dziś osobna polska parafja, a przedtem odprawiano nabożeństwa dla Polaków w kościele Irlandczyków. Ks. Głogowski i Ks. Trawniczek jeździli naprzemian co niedzielę do Derby, gdzie dla Polaków odprawiali nabożeństwo w kościele Irlandczyków, aż 15 lipca 1905 r. powstała tam parafja pod zarządem naszych Konfratrów. Ponieważ miejsce przy St. John Str. nie odpowiadało, po dłuższym namyśle co do obioru nowego, centralnego dla Polaków miejsca, przeniósł Ks. Sup. Mazurkiewicz parafję w 1912 r. na obecne miejsce przy State Str. i tam wybudował obecny kościół, urządził szkołę i sprowadził do nauczania SS. Nazaretanki. Ks. Sup. Janow-

ski, po wielu kłopotach z zarządem miasta o prowizoryczną szkołę w suterynach kościelnych, zbudował w 1922 r. wspaniałą szkołę z obszerną halą i lokalami dla kościelnych organizacyj, a w obecnym roku jego staraniem polska firma Mazura w Buffalo odmalowała bardzo estetycznie kościół. Okna zaopatrzono we witraże. W 1928 r. przypada 25-lecie naszej pracy w Stanach Zjedn. To też nic dziwnego, że oczy nasze zwracają się na New Haven, jako na pierwszą placówkę, jako na kolebkę. Pracowali tu, oprócz wymienionych Konfratrów, Księża: Waszko, Sołtysek, Cepurski, Grigljak, Czapla, a obecnie obok Ks. Sup. Janowskiego, dwukrotnie tu przeznaczonego, Ks. St. Włodarczyk i Ks. W. Kowalski.

Parafja polska w New Haven walczy z dość uciążliwemi trudnościami. Władze chcą w tem mieście utworzyć środowisko szkolne, jako siedzibę głośnego uniwersytetu Yale, a usunąć przemysł. Stąd robotnicy, między którymi są nasi rodacy, mając coraz mniej zajęcia, rozchodzą się po dzielnicach miasta, a często przenoszą się do innych przemysłowych ośrodków. Wskutek tutejszego systemu budowy miast, New Haven zajmuje bardzo rozległy obszar. Wskutek tego rodacy mają daleko do polskiego kościoła, a ich dzieci do polskiej szkoły. Fabryki, o ile jeszcze są, nie zawsze dają zajęcie, więc lud polski na potrzeby parafjalne z trudnością łożyć może, a mniej gorliwych odstręcza to całkowicie i od polskiego kościoła i od praktyk religijnych. Coraz więcej robotników wychodzi na farmy, gdzie łatwiej o chleb codzienny; w okresie zaś wielkiego ruchu w fabrykach jeżdżą za zarobkiem do miasta. Tacy są w niemożliwości posyłania dzieci do szkoły, a nieraz i sami nie mogą uczęszczać do kościoła z powodu wielkiej odległości. Parafja w New Haven mogłaby liczyć do 1000 rodzin. Konfratrom udało się nakłonić około 500 rodzin, by osiedliły się bliżej kościoła i temi rodzinami parafja stoi. Dzieci w szkole polskiej jest do tysiąca. Kto patrzy na materjalny rozwój tej parafji, może ją mimo wszystkich braków stawiać za wzór. Pod względem rozwoju duchowego jest coraz lepiej.

Ci Konfratrzy, którzy owieczki swe znają od założenia parafji, widzą dość znaczny plon duchowny. Przy obecnej misji nalegaliśmy na sumienniejsze uczęszczanie na mszę św. i gorliwsze przystępowanie do Sakramentów św.; staraliśmy się obrzydzić pijaństwo, lenistwo które sprawia, że się nawet w pracy nie troszczy o utrzymaniu rodziny, rozbudzić poczucie świętości rodziny i większej troskliwości o dorastającą młodzież. Oprócz wielkich odległości od kościoła, usterki wśród wszystkich parafjan w Stanach, a więc i w New Haven, są spowodowane jeszcze jedną przyczyną, kfórą tu warto wyłuszczyć. Wiadome są warunki życia ludu naszego w Ojczyźnie, że mianowicie z powodu ubóstwa, ciemnoty, odległości od kościoła, albo jednej tylko mszy św., odprawionej w dnie świątecrne, wszyscy nie mogli wypełniać ściśle II. przykazania kościelnego, raz bowiem szła do kościoła jedna część rodziny, kiedy indziej druga. Tu tych powodów do zaniedbania daleko mniej, a jednak rzadko gdzie można wykorzenić niedbalstwo w wykonywaniu praktyk religijnych. Dalej w Ojczyźnie spowiadało się w każdą niedzielę. Tu w niedziele jest spowiedź niemożliwością, tylko w dzień poprzedni wieczorem czyli w sobotę można się wyspowiadać; w dzień zaś świąteczny niema ksiądz zwykle na to czasu, gdyż prawie każdy mówi wówczas po 2 nauki. Ponadto zbieranie kolekty na każdej mszy i inne dorywcze parafjalne obowiązki sprawiają, że czasu na spowiadanie wieleby w niedziele nie zostało. Starsi, przyzwyczajeni chodzić raz na rok do Sakramentów św. z trudem się na to zdobędą, by przyjść raz na rok w sobotę wieczorem do Spowiedzi św. Trudno im się pogodzić także i z tem, by co niedzielę być na mszy św.

Misji w New Haven udzielali tym razem: Ks. St. Konieczny, Ks. J. Swałtek i n. p. Ludzie, mimo niepogody gorliwie uczęszczali nawet z dalszych stron, a Bóg miał najwięcej pociechy z licznego przystępowania do Sakramentów św.

Taunton Mass (5 – 19 czerwca 1927 r.).

Polska parafja powstała tu przed 20 laty. Kościół wybudował Ks. H. Dylla na dość obszernym placu obok zaku

pionego na plebanję domu. Ma tu być do 350 rodzin polskich, mało jednak zespolonych, mieszkających na 2 przeciwległych krańcach miasta. Ta odległość terenowa rodaków, zdaje się była przyczyną, że dotychczas niema tu parafjalnej szkoły, a gdy powstanie, działalność jej będzie z góry paraliżowana. Miasto Taunton, jedno z najstarszych w stanie Massachusetts, jak powiadają mieszkańcy, liczy do 40.000 mieszkańców. Leży w dość uroczem położeniu niedaleko Oceanu Atlantyckiego i m. Bostonu. Ma charakter francuski, jak wszystkie miasta w tych stronach, chociaż język angielski jest już w powszechnem używaniu. Ludność zajmuje się handlem, pracuje we fabrykach maszyn i tkalniach bawełnianych. Fabryki te coraz słabiej prosperują. Mówią, że jest tu tak zwyczajnie przed wyborami prezydenta, bo wielcy bogacze w ten sposób chcą przygotować grunt dla partji republikańskiej. Obok tego przyczyną zastoju jest rugowanie materjałów prawdziwie bawełnianych przez jedwab sztucznie wyrabiany; dlatego trzeba fabryki przerabiać i szukać innego miejsca zbytu, co już jest zbyt ryzykowne. Nadto fabrykanci wolą dziś przenosić tkalnie i inne fabryki do stanów południowych i środkowych, gdzie robotnik tańszy i bliżej się jest surowca. Wprowadzanie także coraz nowszych maszyn zastępuje ludzkie ręce robocze i wzmaga tu jeszcze bardziej bezrobocie. To też w Taunton coraz więcej rodaków naszych, gdy nie ma widoków na lepsze zarobki w innych miastach, przenosi się na podmiejskie faremki, by stamtąd udać się na jakibądź zarobek, zapewniający tańszy dach nad głową dla rodziny. Narzekania na liche warunki życiowe słyszałem tu tak samo często, jak w Ojczyźnie. Polską parafją zarządzają od 4 lat polscy OO. Franciszkanie, których tu zwykle czarnymi nazywają, ze względu na strój, a nie na rasę. O tych Ojcach słów parę.

Przybywali oni z Polski od dawnych lat i należeli tu do prowincji niemieckiej. Przed 25 laty zorganizowali pod O. Fudzińskim osobną polską prowincję. Z początku posyłali alumnów na kształcenie do Rzymu, Asyżu i Krakowa;

w tym zaś roku poświęcili już 2 nowe zakłady dla swojej dorastającej młodzieży i kształcącej się. Z końcem wojny starsi ojcowie wrócili do Ojczyzny tak, że dziś są w tej prowincji przeważnie ojcowie tutejsi. O ile było można się dowiedzieć mają tu obecnie ponad 30 domów, obsługując przeważnie parafje polskie.

Mimo, że sami ci ojcowie głoszą misje, zapraszają nieraz i nas z misjami do swoich parafij. Chociaż liczba parafjan w Taunton dałaby 2 misjonarzom zajęcie, obawiał się O. proboszcz, czy będzie frekwencja i zaprosił tylko jednego z nas. Posłany tam był n. p. W parafij tej korzeni się dość wielka obojętność religijna, jak prawie wszędzie w tych stronach, a przyczyną tego zaznaczone wyżej rozrzucenie rodaków po całem mieście, brak szkoły parafjalnej i organizacji kościelnej, no i to, że emigracja tutejsza, jedna z najświeższych, nie miała jeszcze czasu na dorobienie się majątku, zwłaszcza przy wspomnianych już ciężkich warunkach materjalnych. Do tego trzeba dodać wadę i gdzieindziej spostrzeganą, mianowicie chodzenie do kościołów i szkół katolickich wprawdzie, ale innych narodowości; posyłanie zaś dzieci do szkół publicznych, uważane jest przez tych rodaków, którzy dorobili się majątku, albo chorych na ambicję, za objaw wyższego tonu i niepospolitowania się z ogółem. Na sprawy kościelne są mało ofiarni. Nauki misyjne głosiłem tylko wczesnym rankiem i wieczorem, i w tych także godzinach słuchałem spowiedzi św. Miałem wrażenie, że łaska działała dość szeroko i sporo obojętnych przystąpiło do sakramentów św. Po południu głosiłem nauki do dzieci szkolnych, które mało co mogły mnie rozumieć, bo ani religji ani języka polskiego w szkołach publicznych się nie uczą. Z religji mogą znać tyle, ile nauczą rodzice lub ksiądz przed I-szą Komunją św., co zależne jest od dobrej woli lub grymasów dzieci. Wystarczy popatrzeć na zachowanie się takich dzieci w kościele, żeby zrozumieć szkody, wynikające z braku szkoły parafjalnej i zrozumieć trudność pasterzowania w takich warunkach.

Udało się naprawić 1 związek małżeński, zawarty w protestanckim kościele. Mówili ludzie, że parafja dawniej była gorliwszą, dopiero zmiany w duszpasterstwie, kierunek lewicowy i wspomniane współczesne warunki wpłynęły na zobojętnienie.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Ks. Fr. Hładki C. M.

Pierwsze karty z dziejów SS. Miłosierdzia w Krakowie.

(Napisał Ks. Fr. Śmidoda).

Wieki już całe mijały jak słowa Prawdy, jak ewangelję pokoju i miłości głosił na ziemi Boski Zbawiciel. Przez mękę i krew, przez wieki ponurych katakumb Rzymu szedł pierwszy szlak dziejów religji, co miała podbić i odrodzić świat, z ruin nowe wyprowadzić życie, a raczej uwieńczyć Boską koroną Prawdy mozolne trudy antycznego świata. Jak dzieje Starego Zakonu zamknęły się w Prawie, tak Nowy otwarł się w miłości, bo „wiązką wszystkiego miłość". Wraz z triumfalnym pochodem dziejowym chrystjanizmu szła z nim czynna miłość Boga i ludzi, ta miłość, o której mówi Chrystus Pan, że jej nie znał świat starożytny, miłość, która w zdumienie wprawiała prześladowców, ociekających jeszcze krwią, gdy im właśnie w czasie wielkich klęsk żywiołowych nieśli bezinteresowną pomoc ci, którzy według ich mniemania „unikali światła dziennego".

Wyrazem czynnej chrześcijańskiej miłości, to chlubna karta dziejów charytatywnej działalności Kościoła, w której bez wątpienia pierwsze miejsce zajmuje organizacja szpitalnictwa. Przytułki noclegowe i wypoczynkowe dla podróżnych znane już były dawno, ale stałe instytuty dla niesienia ulgi cierpiącej ludzkości zostały dopiero zainicjowane przez Kościół, przezeń protegowane, prowadzone, a nawet często utrzymywane. Gdy później historja, a zwłaszcza różne wstrząsy polityczne wykazały coraz większą potrzebę zlecenia opieki nad temi instytucjami stałym organizacjom osób, pracującym w duchu chrześcijańskiego miłosierdzia, zaczęto te zakłady oddawać zakonom, zwłaszcza tym, co powstały w okresie

wypraw krzyżowych i miały za cel pielęgnowanie starców i chorych. Później wobec upadku ich lub rozwiązania, dalej wskutek niemożliwości pogodzenia życia zakonnego z koniecznością niesienia ulgi chorym lub kalekom, nawet poza mury szpitali, okazała się piekąca potrzeba jakiegoś nowego stowarzyszenia, któreby wolne od krępujących reguł zakonnych, mogło w miarę swych sił wszystkim i wszędzie nieść pomoc. Zadania tego podjął się i chlubnie dokonał dopiero św. Wincenty, ten wielki Apostoł chrześcijańskiego miłosierdzia, a dziś patron wszystkich dzieł miłosierdzia na świecie. Patrząc własnemi otrzyma na krwawy siew wojny 30-letniej, co szalała w zachodniej Europie, a potem na jej straszliwy plon, w postaci doszczętnego prawie zniszczenia całych prowincyj i bezprzykładnej nędzy ludu, postanowił nieść mu w miarę możności pomoc stałą i zorganizowaną. W tej to myśli założył on, jeszcze jako proboszcz w Chatillon-le Dombes, w r. 1617 Stowarzyszenie Pań Miłosierdzia. Później w r. 1633 stworzył z biednych dziewcząt wiejskich, przydanych zrazu do pomocy Paniom Miłosierdzia, dzieło bez porównania wspanialsze, dzieło co aureolą chwały miało okryć jego czoło, a mianowicie Zgromadzenie SS. Miłosierdzia. Zgromadzenie to, nie będąc zakonem, jak i Zgromadzenie Księży Misjonarzy przezeń założone, było czemś zupełnie nowem w dziejach Kościoła; było tak starannie i głęboko obmyślone, że do dziś coraz bujniej rozkwita i stanowi obecnie zgromadzenie najliczniejsze w Kościele, bo liczące przeszło 40.000 członków. Współzałożycielką Zgromadzenia, pierwszą jego przełożoną i prawą ręką Świętego, to Ludwika de Marillac czyli Panna Le Gras, dziś Błogosławiona.

W r. 1652 [1]), a więc jeszcze za życia Świętego swego założyciela, a rok po przybyciu Księży Misjonarzy, na usilne prośby Marji Ludwiki Gonzagi, królowej polskiej i żony Jana Kazimierza, zostały trzy SS. Miłosierdzia wysłane do

[1]) L. Wachholz „Szpitale krakowskie 1220 – 1920" t. I str. str. 20 mylnie podaje datę 1651.

Polski. Rok przybycia Sióstr, to rok straszliwej zarazy, jaka wybuchła u nas po wojnach kozackich. Przez 7 pierwszych lat, to jest w czasie wielkiej klęski najazdu Szwedów, przebywały one w otoczeniu królowej w różnych miastach Polski. Dopiero w r. 1659 umieściła je królowa przy szpitalu parafjalnym św. Krzyża w Warszawie. Później nabyła dla nich obszerną posiadłość na pobliskiej Tamce, gdzie od roku 1712 jest Seminarjum przygotowawcze dla Sióstr i zakład dla sierot. W tymto roku posiadały już SS. Miłosierdzia poza domem centralnym św. Kazimierza na Tamce i filji jego w Pęcherach, szpital św. Rocha z filją w Szczęśliwicach, szpital św. Ducha w Warszawie i dom w Chełmnie [1]. W r. 1714 sprowadza Michał Szembek bp. sufr. krakowski SS Miłosierdzia w liczbie 4 do Krakowa i oddaje im na szpital kamienicę przy ul. św. Jana [2].

Zanim przejdziemy do omawiania dziejów SS. Miłosierdzia w poszczególnych, najstarszych domach Krakowa, zdaje mi się, że nie od rzeczy będzie powiedzieć kilka słów o dotychczasowych dziejach szpitalnictwa wogóle, a potem o stanie jego w Krakowie, w chwili przybycia Sióstr. — Wstępną zaś, lecz nader ważną uwagą z dziejów szpitalnictwa tych czasów jest to, że aż do końca XVIII w. rozumiano pod nazwą szpitali raczej przytułki dla ubogich, sierót, starców i niedołężnych, niż rzeczywiste przytułki, a raczej instytucje lecznicze dla chorych. Dopiero w XIX w. ustaliło się nasze pojęcie „szpitala".

Najstarsze szpitale w Polsce sięgają bardzo odległych czasów, bo XII jeszcze wieku. W r. 1153 powstaje szpital przy klasztorze cystersów w Jędrzejowie, fundacji Janisława arcyb. gnieźnieńskiego. W 14 lat później zakłada w Zagoście szpital, Henryk, książe sandomierski. Opiekę nad nim oddał prawdopodobnie zakonowi Miechowitów, zwanym tu tak od głównego swego domu w Miechowie, czyli Bożogrobcom,

---

[1]) Księga pamiątkowa trzechsetlecia Księży Misjonarzy p. 229.

[2]) „W księdze pamiątkowej" p. 228 podano fałszywie r. 1714 jako datę założenia szpitala św. Łazarza.

lub Stróżom grobu Jerozolimskiego, którzy posiadali parafję i szpital w Sieradzu i szpital św. Jadwigi w Krakowie. W r. 1170 funduje Mieszko Stary w Poznaniu szpital św. Michała, który w r. 1177 oddaje na wieczne posiadanie Szpitalnikom św. Jana Jerozolimskiego, zwanymi także Joannitami lub Kawalerami maltańskimi. W r. 1203 założył bp. krakowski Pełka szpital w Sławkowie [1]), gdzie były kopalnie ołowiu i oddał go pod opiekę Kanonikom Regularnym De Sancto Spiritu lub de Saxia, zwanym także Duchakami, a sprowadzonym jak twierdzi Wachholz [2]) z Vienne w południowej Francji. W r. 1220 przeniósł ten szpital bp. Iwo pod Kraków na Prądnik, zwany do dziś „duchackim", a w r. 1224 stamtąd bp. krakowski Prandota do samego Krakowa i umieścił go przy kościele św. Krzyża, gdzie obecnie plac św. Ducha. Szpital ten był przez siedm zgórą wieków największym w Krakowie. W r. 1263 buduje Boguchwał bp. poznański szpital św. Ducha w Poznaniu i oddaje go Duchakom, a w 20 lat później daje tymże zakonnikom założony przez siebie szpital tej samej nazwy arcyb. Świnka w Uniejowie. Wreszcie w r. 1298 zakłada bp. krakowski Jan Muskata drugi raz w Sławkowie szpital Duchaków pod wezwaniem św. Jana Chrzciciela. Dalszym szpitalem założonym na ziemiach polskich, to szpital św. Macieja we Wrocławiu i szpital w Brześciu kujawskim, pozostający pod opieką t. zw. Krzyżaków gwiaździstych (Cruciferi) o nieznanym bliżej początku i dziejach. Nadto rozszerzyli się w Polsce w XVII. w. za Wazów, założeni w r. 1572 przez Jana Bożego (Jana Cinndada) Bracia Miłosierdzia czyli Bonifratrzy. Mieli oni już w następnym wieku szpitale w Krakowie, Lwowie, Warszawie, Lublinie, Gdańsku itd.

W chwili gdy SS. Miłosierdzia przybyły na stałe do

---

[1]) Sławków leżał na trakcie handlowym Kraków-Wrocław; stąd tu i tam do dziś nazwa ulicy Sławkowskiej.

[2]) L. Wachholz „Szpitale krakowskie" t. I. str. 11.

Krakowa, zna tu L. Korczyński 11 szpitali [1]) i to częścią klasztornych, częścią parafjalnych. Był tu mianowicie:

Szpital św. Ducha, na miejscu dzisiejszego placu św. Ducha z teatrem im. J. Słowackiego, założony w r. 1244 dla „ubogich starców leżących po ulicach, podrzutków i mamek". Od r. 1628 był on pod zarządem Magistratu.

Szpital św. Jadwigi [2]) lub Miechowitów „dla starców pochodzenia szlacheckiego". Był on na miejscu Komendy korp. na Stradomiu (DOK), a miał go według Długosza, wraz z kościołem fundować Kazimierz Wielki jako wyraz ekspiacji za utopienie Ks. Marcina Baryczki, wikarego katedralnego, który udał się do króla z upomnieniem od pap. Klemensa VI. za niemoralne jego życie.

Szpital św. Rocha, dziś „dom pod krzyżem" na rogu ulicy Szpitalnej i św. Marka. Czas jego założenia jest nie znany, ale był to pewnie szpital bardzo stary, jeżeli podanie uważa za jego założyciela bisk. Iwona Odrowąża. Musiał także pozostawać w pewnym ściślejszym związku ze szpitalem św. Ducha, który nazwano Hospitale magnum, albo maius, w przeciwieństwie do pierwszego, zwanego Hospitale scholarium. Od roku 1790 mieścił się tu „Szpital ubogich kościoła archipresb. Najśw. Panny Marji".

Szpital św. Sebastjana i Rocha na tzw. łące Sebastjana (dziś ulica św. Sebastjana) założony w r. 1529 dla „kiłowych" to jest chorych na chorobę galicką czyli syfilizm. Szpital ten drewniany, stał na grobli otaczającej sadzawkę, w środku której

---

[1]) L. Korczyński. „Zarys dziejów kliniki lek. U. J." (Pam. Jubil. ku czci prof. E. Korczyńskiego)" str. 11, Kraków 1900.

[2]) Ks. Wł. Chotkowski „(Ks. Prymasa Poniatowskiego spustoszenia kościelne w Krakowie" str. 146, Kraków 1918) identyfikuje go ze szpitalem Ligęzy, który założył w r. 1637 kaszt. sand. Ligęza „dla starców niedołężnych, ale nie zaraźliwych ze szlachty" i oddał go pod opiekę kapituły. L. Wachholz str. 46 twierdzi, że szpital ten mieścił się w osobnym gmachu, a gdy wskutek rozbiorów przepadł kapitał fundacyjny, wynoszący 100.000 zł, sprzedała kapituła gmach szpitalny, obracając pieniądze na cele dobroczynne.

na wysepce stał drewniany kościół św. Sebastjana i Rocha. Od grobli tej i „drogi pospolitej — był jeszcze grunt szpitalny — aż do przykopu OO. Misjonarzy... na tym kawałku była quondam chałupka szpitalna a przy niej puszka na jałmużnę, gdzie dziadek mieszkał: jak dawno zniesiona, non constat. Teraz (1720) ten kawałek gnojami zarzucony z miasta wywiezionemi".

Szpital i kościół św. Szymona i Judy, założony na Kleparzu z końcem XIV. w., gdzie dziś główne wejście do centralnego domu SS. Miłosierdzia w Krakowie i ich kościoła.

Szpital z kościołem św. Walentego na Kleparzu dla trędowatych, a później przytułek dla ubogich. Pomimo dość dokładnych opisów samego szpitala nie podobna dziś ani czasu jego powstania, ani miejsca położenia z całą dokładnością oznaczyć.

Szpital Bożego Miłosierdzia „dla biednych", najstarszy przytułek w Krakowie, o czasie założenia nieznanym, a sięgającym może XIV. w. Był on na Smoleńskiej przy kościele Bożego Miłosierdzia, gdzie obecnie mieszkają „Panie pozbawione opieki, a opłacające koszta swego utrzymania".

Szpital ubogich wdów przy ulicy Szpitalnej, założony według Korczyńskiego w XVII. w.

Szpital św. Mikołaja na Wesołej, założony z początkiem XVI. w. dla biednych tej parafji.

Szpital św. Leonarda, założony w r. 1443 najpierw dla trędowatych, potem dla ubogich parafji Kazimierskiej.

Szpital Bractwa N. M. P. na ulicy św. Szczepana, założony w r. 1588 dla „ubogich chorych i starców stanu mieszczańskiego".

Prócz tego trzebaby zdaje się jeszcze dodać trzy:

Szpital Braci Miłosierdzia czyli Bonifratrów, sprowadzonych w r. 1609 przy ulicy św. Jana, gdzie dziś sąd powiatowy cywilny. Był w nim kościół św. Urszuli, z którego pochodzi obraz anioła z pacholęciem u stóp, na bocznej ścianie korytarza tego domu.

Szpital dla „szalonych“ w kamienicy „pod Łabędziem“, zwanej dawniej „Serwakowską“, założony w r. 1688, a fundowany przez bisk. Trzebickiego. Rozciągał się od ulicy Szpitalnej aż do ulicy Świńskiej, dziś św. Krzyża. Obecnie jest tu część gmachu Kasy Oszczędności.

Szpital św. Marcina z kościołem pod tem wezwaniem, przy ulicy Grodzkiej dla chorych i wysłużonych na parafjach księży [1]).

Szpital SS. Miłosierdzia przy ul. św. Jana w Krakowie.

Michał na Słupowie Szembek biskup sufr. krakowski, widząc, jak pisze w akcie erekcji domu SS. Miłosierdzia przy ulicy św. Jana z r. 1714: „Na ulicach tego miasta Wiarą i Religją Katolicką najsławniejszego tyle Ubogich Chorych na gnoju jako bydło leżących, różnemi dolegliwościami trapionych i dla ucisku Duszy jęczących i opłakujących nieszczęśliwy stan swój“ — większego i doskonalszego sposobu znaleźć nie mógł „jako oddane Bogu Panny, do uczynków miłosierdzia osobliwą od Boga mające wokacją i Łaskę i dlatego od miłosierdzia ku ubogim, Siostrami Miłosierdzia zwane, sprowadzić z Warszawy, gdzie jako w różnych chrześcijańskiego świata Religjach i także na kilku tego Królestwa miejscach, taką miłością, pilnością, ochotą, jako największą z wszystkich zbudowaniem ubogich i chorych pociechą wielce pożyteczną i nieustanną czyniące usługę, iż... ledwie co spo-

---

[1]) Kościół ten został założony przez Piotra ze Skrzynny w XIII w. i był do końca XVI. w. w rękach księży świeckich. W r. 1638 został na tem miejscu zbudowany nowy kościół, który należał kolejno do Karmelitanek Bosych, potem do Księży Emerytów. Na podstawie tego co pisze o tem ks. Chotkowski w „Spustoszeniach Koś.“, L. Wachholz „Szpitale krakowskie“ t. I. 45, i Ambr. Grabowski „Kraków i jego okolice“ str. 182 nie podobna podać bliższych dat tych faktów. Od r. 1816 jest to zbór protestancki.



Dom Główny Sióstr Miłosierdzia w Krakowie — Widok od ulicy Warszawskiej.

sobniejszego i doskonalszego w Kościele Bożym widzieć postanowionego“ [1]).

Na mocy tedy umowy z 5 VI. 1714 r. zawartej między nim, a księdzem Jakóbem Cibonim, Sup. Księży Misjonarzy w Lublinie, w imieniu Michała Tomasza Kownackiego, wizytatora prowincji polskiej w Warszawie i wizytatorką SS. Miłosierdzia Marją de Bay [2]) oddał bisk. Szembek SS. Miłosierdzia, przybyłym w liczbie 4 do Krakowa w r. 1714 dwupiętrowy dom przy ulicy św. Jana, naprzeciwko kościółka pod tem wezwaniem, na szpital [3]). Umieszczono tu na parterze aptekę i izbę dla chorych mężczyzn, na pierwszem piętrze kuchnię i izbę dla kobiet, a na drugiem piętrze westjarnię i mieszkanie dla Sióstr [4]). Były w tej kamienicy także piekarnia, browar i kaplica, w której znajdowały się dwa pozłacane srebne kielichy, 18 ornatów i dość dużo innych potrzebnych przyborów. Ogółem mogło tu znaleść pomieszczenie do 24 chorych. Każdej z 4 Sióstr, mającej zamieszkać w szpitalu wyznaczył Biskup na stałe po 200 tynfów rocznie „z których tylko swym przełożonym sprawić się będą powinny“. Nadto w r. 1715 dał „im zastawem wieś Miroszów, na której zapisana suma w Grodzie krakowskim [5]) 50.000 złotych, które

---

[1]) Akt Erekcji Bisk. Szembeka z r. 1714 w „Aktach zarządu szpitala św. Łazarza w Krakowie SS. Miłosierdzia przyznającym“ arch. SS. Miłosierdzia Kleparz p. 9.

[2]) „Akta zarząd szpitala etc.“ c. arch. SS. Miłosierdzia, Klep. p. 4

[3]) Dom ten, dziś narożnik przecznicy św. Tomasza, tworzy tyły Grand Hotelu.

[4]) Cfr. Liber Visit. r. 1454—1795 (arch. kapituły krak. nr. 64) i „Fundacja SS. Miłosierdzia w Krakowie, opisana 1780“ w aktach zarząd etc. l. c. p. 2.

[5]) „Fundacja SS. Miłosierdzia opisana 1780“ w Aktach zarząd etc. e. c. p. 2; podano tu jednak mylnie nazwę Miroszew zamiast Miroszów, jak jest w akcie erekcji. L. Wachholz „Szpitale krakowskie“, t. II. s. 19 cytując akt erekcji czyta znów mylnie zamiast Miroszów, Mieroszów, a Korczyński Mieroszew.



Kościół św. Barbary w Krakowie, przy dawnym szpitalu akademickim.

w testamencie zapisała Otylja ze Słupowa Czarnecka szpitalowi SS. Miłosierdzia w Krakowie [1]). Dochody z tej sumy miały iść na przyodziewek, sprzęt i inne potrzeby, chorym prokurowane, tudzież Restauracją szpitala i rezydencją... a żadnym sposobem na inszy rozchód tylko na tyle ubogich i ich potrzeby". Dług 1.000 złotych ciążący na tej kamienicy przeniósł Biskup na inne swe posiadłości. Dalej pisze on w akcie erekcji, że „dokąd żyć będziemy — przed nami, po śmierci zaś naszej przed JW. IMCX. Bisk. krakowskim albo JW. Sufraganem... gdy i kiedy tego będzie potrzeba racją dać będą powinny". Że SS. Miłosierdzia starały się rzeczywiście to życzenie fundatora spełnić, świadczy niezbicie zachowane do dziś zestawienie rozchodów całorocznych przesłanych Ks. Bisk. Szembekowi. Dowiadujemy się z niego pomiędzy innemi, że chorych było tu wtenczas w szpitalu 12 [2]). W razie powiększenia się dochodów wskutek zapisu wiernych pozwala Biskup na podniesienie liczby chorych i usługujących im Sióstr, ale z wiadomością... i pozwoleniem JW. IMCX Bisk. Prócz 8 erekcją fundowanych łóżek pod firankami, przyczyniły Siostry łóżek z firankami trzy, bez firanek trzynaście tak, że liczba wszystkich razem łóżek doszła do 24 [3]). Dekret obowiązuje dalej Siostry do szczególnej troski o chorych z parafji św. Jana. W razie niemożliwości przyjęcia ich do szpitala miały ich obowiązek wizytować i ratować w miarę swych sił. „Możnieyszym i bogatszym iako i ich domowym sługom", a dalej „niewiastom rodzącym" pomocy nieść nie były obowiązane, bo „dosyć dla

1) Arch. Konsyst. krak. fasc. „Szpital św. Lazarza etc." od roku 1823 nr. 1242, 1316, 2182.

2) „Pokorna informacja PP. Miłosierdzia JW. IMC i X. Sufraganowi krak. jako Fundatorowi podana" w Aktach zarząd etc. p. 1.

3) Fundacja SS. Miłosierdzia opisana w 1780 w „Aktach zarząd szpitala etc." p. 2.

nich kiedy fundacyi naszej i opisaney obligacyi zadosyć czyniąc, życie ciche, spokoyne, wokacyi swojej akkomodowane, tak co się tycze zbawienia własnego, jako też zbudowania ludzi prowadzić będą". By nie pozbawić chorych pomocy duchowej, zrobił Biskup osobną i wieczystą fundację dla kapłana, przeznaczonego na stałe przez każdorazowego Biskupa krakowskiego, by chorych podnosił na duchu i niósł im sakramentalną pomoc, zmarłych zaś na cmentarzu szpitalnym chował. Wreszcie przyjmuje Biskup Szembek i uznaje prawa, jakie mają z konstytucji Zgromadzenia swego wizytatorowie Księży Misjonarzy w rządzie i dyrekcji SS. Miłosierdzia i pozwala im nawet robić „sumptem tegoż Szpitala" zmiany pewne, jakie uznają za stosowne. Akt erekcji kończy się wreszcie poleceniem fundacji „protekcyi Nayiaśnieyszego Króla" i prośbą zwróconą do Bisk. w Krakowie, by starali się zawsze szpital ten i „Jego Dyrektorki Siostry Charitatis" w ramach przepisów ordynacji tej i każdego jej artykułu utrzymać.

Nawiązując jeszcze do wzmianki o ewentualnych zapisach na rzecz szpitala wspomnieć tu trzeba, że rzeczywiście tą drogą kapitał fundacyjny szybko wzrastał. Około roku 1780 doszedł on już do znacznej sumy 107.800, z czego 50.000 zł, a po wykupieniu Wiederkaufu [1]) 7800 zł, czyli razem 57.800 zł. lokowane były na wsi Miroszów, a 50.000 zł, jak głosi opis fundacji, miały Siostry na prowizji u p. Putego, starosty zawichoskiego [2]). Szpital miał mieć według Kor-

---

[1]) Wiederkauf czyli wyderkaf lub wyderka jest to w tym wypadku zakupienie czynszu czyli danie komu kapitału na posiadłość pod warunkiem, żeby z niej wiecznie czynsz płacono. Kl. Bąkowski „Dzieje Krakowa" Krak. 1911 p. 117.

[2]) Ta suma kapitału nie zgadza się ze sumą 107.000 zł, jaką podaje Korczyński (Zarys dziejów etc. 26) i ze sumą 11200, jaką podaje akt tranlacji SS. Mił. na Wesołą. Według niego miało 50.000 być lokowane na wsi Miroszów, a 62000 na wsi Birków. L. Korczyński (26) czyta mylnie w porównaniu z aktem translacji na Wesołą, B i e r k ó w, a ks. Chotkowski („Spustoszenia" 93) podaje sumę kapitału na 60.000 zł.

czyńskiego 3000 zł rocznego dochodu. Prócz tego otrzymały SS. Miłosierdzia bielnik (dealbatorium, alias blech nuncupatum) z gruntem zwanym Krystynowskie [1]) lub Korytowskie [2]), a w r. 1725 dworek na Wesołej od Anny Małachowskiej wojewodziny poznańskiej, z ogrodem i dwoma sadzawkami. Tu utrzymywały Siostry dla szpitala 4 krowy i 10 sztuk nierogacizny. Tu też, jak zdaje się wynikać z „Opisu fundacji z r. 1780" prano bieliznę szpitalną. Akt opisu kończy się wreszcie znamienną uwagą: „Mayą Siostry prostego długu już przysądzonego 6000 od P. Slawskiego, starosty Bocheńskiego, ale się o to jeszcze prawować będą w trybunale".

Szpital akademicki św. Barbary.

Z ogólnem rozluźnieniem się karności w kraju, z przewrotami i przemianami politycznemi upadły także i nauki, zwłaszcza zaś nauki lekarskie na Uniwersytecie krakowskim tak, że w r. 1779 było zaledwie trzech profesorów na wydziale lekarskim [3]). Chcąc podnieść i zreformować studja lekarskie sporządził Jędrzej Badurski, jeden z profesorów tego wydziału nowy ogólny plan nauk lekarskich, w którym zaprojektował pomiędzy innemi plan urządzenia specjalnej kliniki uniwersyteckiej. „Propozycję założenia kolegium lekarskiego" przyjęła Komisja edukacyjna jednomyślnie i przyznała w tym celu Akademji na zawsze pojezuicki dom przy kościele św. Barbary w Krakowie. Utworzono tu po przebudowaniu gmachu na wzór kliniki lugduńskiej i wiedeńskiej [4]), pierwszy szpital kliniczny w Polsce, w którym komisja wyznaczyła fundusze na dwa, a później na trzy łóżka. Ini-

[1]) Ks. Wł. Chotkowski „Spustoszenia koś. etc." e. c. 93.

[2]) Przekład translacji SS. Mił. na Wesołą fasc. „Akta zarząd etc. p. 20"; Arch. SS. Mił. Kleparz. W kopji aktu układu między SS. Mił. a Badurskim z r. 1780 (p. 6) czytamy Korzynowskie, a w kopji translacji SS. Mił. do św. Barbary (p. 12) Kortynowskie. Sądzę, że w obu wypadkach zaszedł błąd przepisującego.

[3]) J. Z. Głębocki: „Zakłady ku ulżeniu bliźnich" Kraków 1852 p. 331.

[4]) Ibid.

cjator całej tej sprawy dr. Badurski nie opuścił jednak rąk, lecz czynił dalsze zabiegi o rozszerzenie zakładu. W tym też celu w porozumieniu z Komisją edukacyjną wystosował w roku 1780 prośbę do konsystorza o połączenie szpitala SS. Miłosierdzia na ulicy św. Jana, ze szpitalem akademickim. Bpem krakowskim był podówczas Kajetan Sołtyk, ale ponieważ ten już od trzech lat „pogrążony w melancholji", żył zamknięty, sprawował zań rządy audytor, archidiakon Olechowski, ulegający wpływom księcia bpa płockiego Michała Poniatowskiego, od r. 1775 koadjutora krakowskiego, który chociaż miał tylko prawo następstwa, a nie prawo mieszania się do nadzoru diececji, będąc w dodatku nieszczęśliwym trafem równocześnie prezesem Komisji edukacyjnej „wdzierał się w prawa" koadjutora, „urodzonego kanclerza uniwersytetu krakowskiego [1])". W takim to czasie nie zważając na opór SS. Miłosierdzia połączył konsystorz oba szpitale i przeniósł Siostry do szpitala św. Barbary, uwzględniając jednak przytem postawione ze strony Sióstr warunki [2]). W akcie urzędowym spisanym w konsystorzu krakowskim 23/X. 1780 r., a zawartym pomiędzy dr. Badurskim a ks. Hewner, superjorem domu stradomskiego Księży

---

1) „Ks. Prymasa Poniatowskiego Spustoszenia kościelne 16.

2) Oto jak ujęły SS. Mił. dzieje swe w Krakowie do tej chwili w „Odpowiedzi na zapytania Wysokiey Prefektury" z r. 1810 (?) („Akt. szpit. św. Łazarza etc l. c. p. 36):

„Roku 1714 Zgromadzenie nasze od ś. p. J. W. Szembeka, Suffragana Krakowskiego sprowadzone było do Krakowa, (i osadzone w kamienicy na ulicy św Jana zwaney). W tem mieyscu przez lat 66 pod opiekuńczem rządem J. O. Bpów Krakowskich i dozorem bezpośredniem Wizytatora Ks. Misjonarzów, oraz Wizytatorki i Przełożoney Instytutu swoiego, cicho spokoynie i z wszelką wytwornością pełniły powołania swoiego, usługi biedney ludzkości, a obróciwszy na siebie oczy litościwey publiczności powiększyły fundusz, który potem Szkoły Główney Krakowskiey zaostrzył pragnienie zabrania go, oraz i z Siostrami do swoich widoków".

„Roku 1780 J. O. książę Poniatowski Prymas i Administrator Dyecezji Krakowskiei rozkazem swoim zniewolił i przymusił Siostry Miłosier-

Misjonarzy, w imieniu Generała Zgromadzenia, jako prowizora i bezpośredniego przełożonego SS. Miłosierdzia i przełożoną Józefą Krasnogębską, postawił fiskał konsystorsk pierwszy i zasadniczy warunek, by Siostry jak dotąd, tak i nadal w klinice podlegały władzy bpiej. Poczem następują warunki postawione przez ks. Hewner, a mianowicie:

1. Aby kamienica szembekowska, w której dotąd mieszkają rzeczone Siostry, zgodnie z układem, zawartym między ks. bpem Szembekiem a ks. Jakóbem Cibonim, superjorem Księży Misjonarzy w Lublinie i ks. Wizytatorem Michałem Kownackim, oraz Marją de Bay, przełożoną Sióstr Miłosierdzia, dnia 5/VI. 1714 r. przeszła na własność Księży Misjonarzy na Stradomiu.

2. Aby 6 Siostrom prócz wiktu dawano w nowym szpitalu drzewo, a na odzienie i inne „sprzęty płócienne" po 300 zł. rocznie.

3. By zarząd wewnętrzny, wizytacja i zmiana osób należały do przełożonych Zgromadzenia.

4. W razie zniesienia szkoły anatomicznej i chirurgicznej, którą się u św. Barbary ma zamiar założyć, aby szpital ten ze wszystkim do tej chwili posiadanym majątkiem ruchomym i nieruchomym na zawsze był zachowany.

5. Aby zrobiono spis sprzętów tak w danym szpitalu jak i w tym, co ma być Siostrom oddany i aby go strzeżono i zachowano [1]).

Nadto miało Zgromadzenie Księży Misjonarzy na podstawie układu z r. 1714 otrzymać kamienicę poszpitalną na ulicy św. Jana na własność.

---

dzia do przeniesienia się z mieysca swego do Kollegium Jezuickiego przy Kościele św. Barbary, oraz z akademją połączył, poddaiąc ie pod zarządzenie i posługę oney, a Jałmużny zebrane na wsparcie ubóstwa obrócił na Uczniów ćwiczących się w nauce lekarskiey. Siostry Miłosierdzia na takową odmianę instytutu swoiego tudzież jałmużn od Dobrodzieiów danych, żadną miarą zezwolić nie chciały i nie mogły, lecz przeciw układom potężney przemocy, iakiż mógł bydź sposób obrony, prócz próźb, łzów i narzekania, które stale nietylko nie zważane, ale i pogardzane zostawały".

[1]) „Translatio Sororum Charitatis ad Domum Sancta Barbara" „(Akt Szpit. św. Łazarza etc. p. 12 i 20).

Zarząd nowoutworzonego szpitala spoczywał, zgodnie z ordynacją ułożoną przez Badurskiego, w ręku Komitetu, złożonego z rektora Akademji, prezesa Collegii Physici, archipresbitera kościoła N. M. Panny i superjora Księży Misjonarzy. Co do samego szpitala, to wybór tego właśnie gmachu nie był wcale szczęśliwy z powodu bliskości jatek rzeźniczych, kanału i murów obronnych miasta. Zresztą był to gmach dość szczupły. Umieszczono tu na dole, w miejscu dawnego refektarza zakonnego, salę dla 4 mężczyzn, a na pierwszem piętrze w dawnem oratorjum, salę dla 4 kobiet. Nadto były w tym domu po dwie izby dla położnic i rannych, 3 izby z płatnemi miejscami po 6 zł dziennie „dla chorych trafunkowych". Znajdowała się tu jeszcze sala anatomiczna i apteka przeniesiona z klasztoru św. Piotra [1]), mieszkanie dla Sióstr i dla 4 stale w szpitalu mieszkających uczniów i asystenta. Temu ostatniemu nie na długo, a uczniom tylko za osobnem pozwoleniem wolno było opuszczać w ciągu dnia szpital. Wszyscy musieli być zawsze obecni przy podwójnych codziennie wizytach lekarskich. Zresztą mieli uczniowie szpitalni zawsze, a inni za specjalnym biletem, wolny wstęp do wszystkich sal, prócz sali położnic, gdzie mogli wchodzić tylko w towarzystwie lekarza. Nadzór wewnętrzny szpitala spoczywał w ręku lekarza i chirurga przez „Collegium Physicum" wyznaczonych, a troskę o potrzeby materjalne miał prokurator szpitalny. Zresztą bezpośredni zarząd wewnętrzny spoczywał w rękach Sióstr, które podlegały jak dotąd, zgodnie z aktem erekcji bpa Szembeka władzy bpa i wizytatora Księży Misjonarzy. Jak w dawnym szpitalu Sióstr tak i tu troskę duchową miał sobie powierzoną kapelan.

Gdy na początku istnienia tego szpitala, wobec nowych uchwał sejmowych, ograniczających znacznie wolność robienia pobożnych zapisów, przesłały Siostry do Warszawy zapytanie „czy zapisy nowe i dawne dla szpitali są dozwolone",

1) J. T. Głębocki: „Zakłady ku ulżeniu etc." l. c. 332.

otrzymały w odpowiedzi dekret królewski z 9/III. 1781 r., który interpretując prawo z r. 1764 pisze, że „Konstytucja ta żadnem późniejszem prawem nie zniesiona, (będąca w Słowach „Fundacje klasztorów nadto pomnożonych, ale de nova radice, tam tylko, gdzie o milę kościoła Farnego niemasz salvis condicionibus de Lege requisitis pozwalamy, co się nie ma rozumieć o Fundacyjach Ojczyźnie potrzebnych i po żytecznych na dobro Szlacheckiego Stanu) „nowe fundacye Szpitalów jako Ojczyźnie użyteczne czynić, etiam sine Consensu Reipublicae dozwala [1]). Wskutek licznych zapisów robionych na rzecz szpitala za przykładem ks. Bieńkowskiego, scholastyka kapituły krakowskiej, który w r. 1780 i 1783 zapisał mu po 10.000 zł [2]), wzrastał majątek szpitala tak, że dosięgnął sumy 126.000 zł [3]), a według Wachholza [4]) nawet 178.500 zł. Po potrąceniu płacy prokuratora (1.800 zł), Sióstr (razem 1.800 zł), pisarza (400 zł), kapelana (500 zł) i służby, pozostawało jeszcze szpitalowi rocznie 3.000 zł, wystarczające na 16 łóżek stałych. Równocześnie jednak z zapisami fundacyjnemi zaczęła się wikłać kwestja własności nietyle gmachu samego, ile raczej szpitala całego jako takiego. Jest to już tu początek głośnego potem sporu o św. Łazarza, kilkadziesiąt lat trwającego, między Akademją i nietyle Siostrami, ile raczej władzą duchowną, czyli konsystorzem krakowskim.

Pozostawiam jednak rozpatrzenie tej sprawy dalszej części niniejszej pracy, a to dlatego, że było tu przecież niewątpliwie pewnem, że gmach ustąpiony został przez Komisję edukacyjną Uniwersytetowi, ale ponieważ szczupłe fundusze wystarczyły zaledwie na dwa, a potem na trzy łóżka, powiększono majątek jego prywatnym majątkiem Sióstr i prywatnymi zapisami, przeważnie członków kapituły. Pra-

---

[1]) A. a. d. m. K. nr. 3459.

[2]) Ks. Chotkowski „Ks. Prymasa Poniatowskiego“ s. 84

[3]) J. T. Głęboski: „Zakłady kliniczne etc.“ l. c. s. 333.

[4]) „Szpitale krakowskie“ t. II. s. 24.

wnicze rozstrzygnięcie sprawy mogło położyć kres wątpliwościom, które tu zresztą nie wywoływały większych sporów, ale później miały się stać poprostu węzłem gordijskim nie do rozwiązania. Szczupłość gmachu, niedogodność miejsca, a pewnie i skutki połączenia szpitali, i zapisy komplikujące coraz bardziej kwestję własności, były przyczyną, że Badurski, widząc interes Akademji zagrożony, poczynił w Komisji Edukacyjnej starania o oddanie innego gmachu w Krakowie na szpital akademicki. Nieszczęsnym trafem był właśnie jej prezesem ks. Michał Poniatowski, administrator diecezji krakowskiej. Zajął się on osobiście tą sprawą i za sumę 20.000 zł, jakie mu sejm warszawski polecił wypłacić z dochodów pobenedyktyńskich dóbr należących do Tyńca i Staniątek [1]), nabył od OO. Karmelitów Bosych na Wesołej, układem z dnia 13/VIII. 1787, klasztor t. zw. nowicjat i kościół pod wezwaniem Niepokalanego Poczęcia N. M. P. „ze wszystkiemi murami, zabudowaniami, ogrodem i placami, dla publicznej wygody na generalny szpital [2]). Nowicjat został przeniesiony do klasztoru i kościoła św. Michała przy ulicy Poselskiej, skąd jednak już w r. 1797 musieli się OO. Karmelici przenieść do Czernej, bo rząd austrjacki obrał ten gmach na sąd kryminalny. (C. d. n.)

---

[1]) L. Wachholz „Szpitale krakowskie" t. II s. 29 i 32.

[2]) „Akta szpitala św. Łazarza etc." p. 7. Arch. SS. Mił. Kleparz.

O organizacji katolickiej medycyny misyjnej.

Napisał *Dr. Szuniewicz* C. M.

„A zwoławszy dwunastu apostołów dał im moc... ażeby uzdrawiali choroby. I posłał ich przepowiadać Królestwo Boże i uzdrawiać niemocnych“ [1]). Cytat powyższy nie wymaga komentarzy. Stawia on uzdrawianie chorych jako zadanie apostolskie tuż obok głoszenia Słowa Bożego. Własnym swym przykładem wskazał zresztą Zbawiciel apostołom ich misję medyczną: „I obchodził Jezus wszystką Galileję... uzdrawiając wszelką chorobę i wszelką niemoc między ludem“ [2]). Był On pierwszym misjonarzem, był również pierwszym lekarzem misyjnym, apostołowie zaś — pierwszym Jego zastępem lekarzy misyjnych, którzy w imię Jezusa podnosili z łoża boleści ciężko chorych. — Ten dar uzdrawiania cudownego otrzymali również niektórzy wierni z czasów apostolskich, o czem wzmiankę znajdujemy już u św. Pawła: „...drugiemu bywa dana łaska uzdrawiania“ [3]) W II w. zanikają charyzmatycy w kościele, lecz samo dzieło miłosierdzia — opiekę nad chorymi i niedołężnymi — przejmują najwcześniejsze gminy chrześcijańskie, włączając do zakresu obowiązków diakonów i diakonisek organizację walki z cierpieniem fizycznem. Nie przeszkadza temu fakt, że gminy późniejsze rozporządzają w niesieniu ulgi w cierpieniu przeważnie środkami naturalnemi — raczej upoważnia

[1]) Łuk. 9. 1—2.
[2]) Mat. 4. 23.
[3]) I. do Korynt. 12. 9.

je do korzystania z tych środków wzór samego Zbawiciela, gdyż przystosowując się w swej dobroci nieskończonej do poziomu naszego, używa On niekiedy środków materjalnych do uzdrowienia chorego, chociaż wystarczało słowo Jego Boskie. Tak czyni, przywracając wzrok ślepemu od urodzenia [1]), w innym wypadku dokonywa stopniowego uzdrowienia ślepego [2]), zniżając się w tem poniekąd do sposobów, jakich chwyta się wiedza ludzka.

Jest więc opieka nad chorymi najbliższem zadaniem apostolskiem obok głoszenia Ewangelji, a więc zadaniem misyjnem. W krajach wyznających Chrystusa oddawna liczne zgromadzenia i zakony podjęły się tej opieki. Natomiast teren misyjny aż do połowy wieku XIX nie posiadał organizacji chrześcijańskiej w tym zakresie. Istniały wprawdzie poszczególne szpitale, kolonje trędowatych i przychodnie dla chorych przy placówkach misyjnych. Misjonarze, pracujący wśród szczepów pierwotnych lub o niskiej kulturze, sami byli zmuszeni niemal wszędzie do udzielania porad chorym. Młoda, zaledwie kiełkująca misja od tego nieraz zaczyna swą działalność. „Już od samego początku każda misja uważa za swój obowiązek, aby przez polikliniczne i dochodzące opiekowanie się chorymi... wejść w stosunki z ludem w sąsiedztwie zamieszkałym, aby przez miłosierne uczynki zdobyć ich zaufanie i pozyskać ich serce“ [3]). Lecz szpitale misyjne nie posiadały własnego personelu medycznego, świadomego podporządkowania zadań lecznictwa celom misyjnym. Kierownictwo leczeniem chorych spoczywało w najlepszym razie w rękach personelu pomocniczego lekarskiego, pospolicie zaś organizatorem, kierownikiem i wykonawcą w jednej osobie był i pozostawał sam misjonarz, nie posiadający odpowiedniego przygotowania do wykonania tej roli swej — podrzędnej, lecz niezbędnej, a niezmiernie odpowiedzialnej.

---

[1]) Jan 9. 6.

[2]) Mar. 8. 22—25.

[3]) Misje Katolickie XXXIII. str. 14 „Medycyna w służbie misyjnej“.

Falistą linję wykazuje wykres statystyczny rozwoju sprawy misyjnej. Jedno z gorączkowych jego wzniesień przypada po dłuższej stagnacji na drugą połowę XIX w. Powstają liczne nowe zgromadzenia misyjne, nowa fala ofiarnych „szaleńców“ miłości Chrystusa zalewa kraje pogańskie, ofiarne i karne wojsko pracowników misyjnych coraz to nowe tereny zdobywa dla Chrystusa — Króla. Na czele zastępów w tej walce kroczy chorągiew Wiary, serca twarde zdobywają żołnierze z pod sztandaru Miłości; sztandaru zaś Miłosierdzia zadaniem: pokonać najzaciętszych nieprzyjaciół. Praktyka misyjna wykazała, że ten ostatni zastęp należy szczególnie starannie wyćwiczyć i zorganizować, by go należycie jako awangardę wyzyskać.

Pierwsi protestanci wykonali ten plan, przerzucając do awangardy misyjnej nowocześnie wyposażony własny personel fachowy medyczny. Nie zadowolili się oni archiwalnym sposobem leczenia chorych na misjach przez kapłanów — misjonarzy, ani się ograniczyli do organizacji pielęgnowania chorych, lecz powołali fachowe siły lekarskie, aby wyzyskać w pełni zdobycze naukowe medycyny nowoczesnej i nieść faktyczną pomoc w cierpieniu. Inicjatywę wykazały angielskie stowarzyszenia misyjne, z których się wyłoniły pierwsze specjalne związki misyjno-medyczne, mające na celu kształcenie oraz utrzymywanie na protestanckich terenach misyjnych personelu medycznego. W r. 1841 powstało szkockie T-wo misyj medycznych [1]), jako próbny zalążek pracy w tym kierunku. Wyniki tej próby były tak zachęcające, że w końcu stulecia ruch misyjno-medyczny przekracza granice angielskie, powołując do życia związki analogiczne w Ameryce, Holandji i Niemczech, te zaś zakładają specjalne szkoły misyjno-medyczne. Liczne szeregi lekarzy (-rek), pielęgniarzy (-rek) oraz położnych wykształciły te szkoły krajowe (w Londynie, Edinburgu, Chicago, Tubindze), szereg kapłanów-misjonarzy przesłuchał w nich specjalnie dostosowane kursy z zakresu higjeny,

---

[1]) Dr. Becker: Ärstliche Fürsorge in Missionsländern, 1921, Aachen.

profilaksy, chorób tropikalnych oraz pomocy doraźnej. Otwarto ponadto wyższe szkoły medyczne dla tubylców na terenie misyjnym. Żeński Instytut Lekarski w Ludhiana'nie (Indje półn.) w sprawozdaniu za r. 1918 wykazał się już znacznemi wynikami: 61 lekarek indjanek, 41 aptekarek, 53 pielęgniarki oraz 186 położnych, pracowały już wówczas w indyjskich misjach na mocy dyplomów tego Instytutu. Na terenie Chin statystyka z r. 1925 podaje już 11 szkół medycznych męskich, oraz 26 szkół pielęgniarskich [1]). Wyniki naukowej organizacji med. działalności misyjnej ułatwiły znacznie pracę misjonarzowi, zwalczając nieufność, usuwając podejrzenie, utrwalając i pogłębiając kontakt misji z jej trzodą, przerzucając most nawet do nieprzystępnej dotychczas twierdzy Mahometa, gdyż jedynie lekarka ma wstęp do izolowanych niewiast mahometańskich.

Oszacowując należycie rolę lekarza dla zadań misyjnych protestanci utrzymują obecnie na własnych placówkach medycznych 1830 lekarzy mis., co w stosunku do ogólnej liczby samych misjonarzy stanowi prawie 1 : 13. W tem trzecią część stanowią lekarze tubylcy. — W samej Anglji obecnie blisko 20 związków mis. zapewnia warunki pracy swoim 530 lekarzom mis. Ostatni międzynarodowy zjazd misjonarzy protestanckich w Belgji (1926) podjął się olbrzymiego zadania — systematycznie objąć stopniowo planową siecią instytucyj medycznych całą (!) Afrykę [2]), wypowiadając walkę przedewszystkiem gruźlicy i śpiączce afrykańskiej. Rozporządzając w chwili obecnej względnie nielicznym personelem (157 lekarzy i 282 pielęgniarek, co wynosi 1 pracownik med. na 300.000 ludności), nie cofa się jednak zjazd powyższy przed ogromem zadania, tylko deklaruje zamiar skoncentrowania wszystkich swych sił do zrealizowania owego gigantycznego planu charytatywnego.

Dotychczasowa działalność misyj katolickich szła w kierunku nieco odmiennym. W wyzyskaniu sił lekarskich

---

[1]) Zeitschrift für Missionswissenschaft, 1926, S. 54.

[2]) Kath. Missionsärztliche Fürsorge, IV. 1927.

protestanci poczynili niezawodnie większe postępy, o czem świadczy np. stosunek ilości ich szpitali wyznaniowych na terenie samych Chin do katolickich (246 : 70) [1]), oraz liczba ich lekarzy misyjnych (1830) wobec katolickich (21). Natomiast sprawa pielęgnowania chorych, stojąca na bardzo wysokim poziomie na terenie katolickim, jest bolączką misyj protestanckich — brak im ofiarnych opiekunek chorych: na 10 lekarzy przypadało do pomocy w misjach angielskich w r. 1924 zaledwie 7 sióstr misyjnych. Koła mis. katolickie nie rozporządzały środkami materjalnemi w tej mierze, by w zakresie organizacji pomocy lekarskiej obsłużyć należycie swoje tereny mis. Dopiero w ostatnich latach Niemcy pierwsze stworzyły sprężystą organizację dookoła Instytutu Misyjno-Medycznego we Würzburgu (rok założ. 1922), obejmującego kształcenie lekarzy i pielęgniarek, oraz 5-tygodniowe kursa medyczne dla misjonarzy. Z kolebki tej wyszło już 21 lekarzy i 90 pielęgniarek, oddanych z młodzieńczym zapałem sprawie misyjnej, a zewnętrznie związanych z nią kontraktem. Studja specjalne medycyny tropikalnej, uzupełniające uniwersyteckie wykształcenie medyczne tych lekarzy przystosowały ich specjalnie do warunków większości terenów misyjnych, szereg zaś lat, spędzonych w konwikcie zakładowym pod specjalną regułą, obejmującą ćwiczenia duchowne, stanowią tło dla spojenia organicznego wychowawców Instytutu z całym organizmem misyjnym. Obecnie Instytut podjął się również pracy wśród wychodztwa niemieckiego. Niedawno otwarto instytut o zadaniach analogicznych w Budapeszcie. Ponadto czynna jest szkoła w Bejrucie, oraz kursa medycyny misyjnej przy uniwersytetach w Lille (od r. 1926), Fryburgu (1927) i Rotterdamie (1927). Zawiązały się młode związki katolickie dla misyj medycznych,ześrodkowując w ten sposób realizację nowej idei. Niemcy, gdzie w r. 1898 powstaje pierwsze stowarzyszenie misyjno-medyczne, w r. 1920 posiadają ich aż 14, zespolonych w jeden ogólno-państwowy związek, opierający

---

[1]) Kat. Agencja Pras., N. 30/27.

się nietylko o sfery czynne misyjne, lecz żywą nicią połączony ze związkiem stowarzyszeń robotniczych, by z głębi narodu czerpać swe siły i z najszerszemi warstwami współpracować. We Francji od r. 1923 jest czynne „Dzieło Miłosiernego Samarytanina“ [1]), w Stanach Zjednoczonych sprawa opiera się o młody „Catholic Medical Mission Board“, zaś w r. 1926 tworzą się związki misyjno-medyczne w Belgji (specjalnie dla misji w Kongo), oraz w Szwajcarji.

Widzimy więc, że początek wieku XX staje się kolebką katolickiej idei misyj medycznych. Ożywiony obecnie ruch misyjny w Polsce, powstały na tle odrodzenia ducha chrześcijańskiego w wyjałowionem przez materjalizm poprzedniego stulecia społeczeństwie, rokuje rychłe, może już po kilku latach, wcielenie idei powyższej także na gruncie polskim. A spragnione pomocy placówki misyjne wołają o lekarza-społecznika, lekarza-higjenistę, a przedewszystkiem o lekarza-katolika, przejętego ideowo sprawą misyjną. Ginie trzoda, stając się łupem chorób; giną szeregi misjonarzy, z należytem zaparciem siebie pracujących w okolicach malarycznych, w okręgach endemicznych; giną bez skargi siostry miłosierdzia, a tajemnica ofiary miłości dla Ukrzyżowanego ukrywa wobec nas statystykę ich śmiertelności z gruźlicy — tej największej nieprzyjaciółki sióstr zakonnych, porywającej często najlepsze jednostki. Jak tu, tak i tam lekarz jest w stanie zachować niejedno życie, podnieść poziom zdrowotny misji przez zarządzenia sanitarno-higjeniczne, przez zastosowanie naukowego dorobku medycyny zapobiegawczej i społecznej, przez propagandę zdrowych zasad pielęgnowania i wychowania dziecka, podnieść wydajność pracy i owocność wysiłków pracowników misyjnych przez roztoczenie nad nimi opieki lekarskiej. — Sierpniowy (1927 r.) zjazd misjonarzy katolickich prowincji Kan-su (Chiny) omawia specjalnie zagadnienia organizacji i metody medyczno-misyjnej w warunkach chińskich. Uchwały tej konferencji pogłębiają dotychczasową rolę lekarza misyjnego,

---

[1]) Ks. H. Król C. M. „Sprawa misyjna“, Kraków 1926.

gdyż wymagają one: 1) powołania lekarza oraz pielęgniarek szpitalnych do współpracy z misjonarzem w nawracaniu chorych, 2) wyzyskania poczekalni ambulatorjum misyjnego jako stałej placówki propagandowej dla katechisty w roli woźnego, 3) zobowiązania lekarza do wykładów elementarnej medycyny praktycznej dla misjonarzy, 4) otwarcia w obwodzie centrali misyjnej szeregu stacyj misyjno-medycznych pomocniczych, w celu wyczerpującego ogarnięcia całego obwodu akcją charytatywną.

Celem więc akcji misyjno-medycznej jest: 1) stworzenie ognisk wychowawczych własnego personelu medycznego, organicznie spojonego ze sprawą misyjną; 2) kształcenie w tych ogniskach lekarzy, położnych, pielęgniarek oraz sanitarjuszy misyjnych, aby za ich pośrednictwem należycie zorganizować akcję charytatywną; 3) wyodrębnienie osobnego działu misyjno-medycznego w celu zapewnienia odpowiedniego kierownictwa, fachowo odpowiedzialnego za sprawność, sprężystość i poziom pomocy medycznej; 4) zaszczepianie elementarnych wiadomości medycznych wśród wszystkich (bez wyjątku) pracowników misyjnych; 5) stopniowe zaangażowanie personelu medycznego do ścisłej współpracy z misjonarzami w dziale nawracania chorych.

Znika z widowni społecznej typ lekarza prywatnego, ustępując miejsca zwartym szeregom lekarzy fabrycznych, kolejowych, kasowych, związkowych itp. Wszędzie została wyzyskana nowoczesna medycyna, jako regulator warunków pracy, jako stróż radości zdrowego organizmu, jako opiekunka zdrowia i tężyzny narodu. Należycie wyzyskana w krajach misyjnych w promieniach ofiarnej miłości chrześcijańskiej daje ona subtelny, kosztowny wprawdzie, ale niezbędny aparat do opanowania terenu misyjnego.

„Totum hominem sanum feci" [1]): nie zaniedbał Zbawiciel po uzdrowieniu duszy przez odpuszczenie paralitykowi grzechów, przywrócić mu zdrowie cielesne, a działalność swą

---

[1]) Jan 7. 23.

apostolską stale łączył z uzdrawianiem chorych: „A gdziekolwiek wszedł do miasteczek, albo do wsi, albo miast, kładli niemocnych po ulicach...“ [1]), i uzdrawiał „wszelką chorobę i wszelką niemoc między ludem“ [2]). Sam zresztą posyła w odpowiedzi Chrzcicielowi „iż ślepi widzą, chromi chodzą, trędowaci bywają oczyszczeni...“ [3]). Idą więc bezpośrednio w ślady Chrystusa ci, co korzystając z doświadczenia misyj protestanckich przyczyniają się do organizacji medycyny misyjnej na terenach katolickich, nie oglądając się na chwilowe tamy o charakterze psychicznym lub materjalnym, zapatrzeni w doskonały przykład miłosierdzia Tego, który jest Drogą naszą.

---

[1]) Mar. 6. 56.
[2]) Mat. 4 23.
[3]) Łuk. 7. 22.

Siostry Miłosierdzia wśród robotników polskich w Les Gautherets (Francja).

(Z listów Siostry X.).

Zawsze pragnąłem tego, aby nasze biedne osoby i dzieła pozostawały w cieniu, pewna, że ten, dla którego pracujemy, znajdzie sposób na to, aby z nich wydobyć tyle dobra, ile zechce. Dziś w duchu posłuszeństwa kreślę tych parę linij. Oby poświadczyły raz więcej, że jesteśmy tylko słabemi i niedoskonałemi narzędziami w ręku Opatrzności Bożej.

Dnia 16-go marca 1925 roku pod opieką naszej błogosławionej Matki opuściłyśmy nasz dom centralny w Warszawie, aby przybyć do Paryża 19 marca w dzień św. Józefa. Nie wspominam tu wielkiego szczęścia, jakiegośmy doznały przez błogie dni pobytu w Domu Macierzystym i ograniczę się do wzmianki, że 26 marca udałyśmy się do Montceau-les-Mines.

W Montceau pod opieką Czcigodnej Siostry Proquin, w domu Hospice S-te-Marie czekałyśmy szczęśliwej godziny, która miała ustalić nasze ostateczne przeprowadzenie się do Les Gautherets.

Ks. Rektor Szymbor, który już 2 lata przedtem wprowadził Siostry Miłosierdzia do Oignies w północnej Francji, a w ostatnim czasie usilnie się starał, aby z Warszawy przybyły Siostry Miłosierdzia dla Les Gautherets, był w stałej komunikacji z dyrekcją w Montceau-les-Mines w tym celu. Długo trwało, zanim wreszcie można było uzyskać Siostry. Dyrekcja Mines de Blanzy rozumiała to dobrze, że dla katolickiej ludności polskiej w Les Gautherets, Siostry polskie dużo dobrego mogą zrobić i nie żałowała nakładu, aby przygotować tę instytucję.



Dzieci Polskie w Les Gautherets z ks. dziekanem Rybą i z Siostrami.

Po południu 1-go kwietnia poszłyśmy wraz z Siostrą Proquin zobaczyć nasze przyszłe mieszkanie, które wtedy jeszcze nie było ukończone. Przybywszy do Les Gautherets miałyśmy miłą niespodziankę. Kaplica publiczna (bo nie mamy tu swojej kaplicy prywatnej, aby według życzenia św. Wincentego należeć do parafji) była wewnątrz przystrojona girlandami i pięknemi kwiatami. Po modlitwie poszłyśmy do naszego domu. Nowa niespodzianka. Trzy sztandary łopotały w wietrze zimnym. Zimno było w tym dniu bardzo. Dziewczynki w bieli, które ofiarowały nam kwiaty, były sine od zimna. Kto to przyszedł na nasze powitanie? Naprzód matki różańcowe z piękną chorągwią. Potem mężczyźni stowarzyszenia św. Joanny d'Arc ze sztandarem i stowarzyszenie górników ze sztandarem św. Barbary. Każda grupa witała nas na swój sposób, jedna kwiatami i przemową, inna ze łzami, inna wreszcie z prośbami. Mimo wzruszenia i niespodzianki trzeba było odpowiedzieć każdej w inny sposób. Nie było to łatwem, zwłaszcza z powodu stanu, w jakim znajdowała się wówczas kolonja. W parę dni potem P. Bóg dał nam wielką pociechę, bo we wielki czwartek, dnia 9-go kwietnia przybył do nas Ks. Rektor Szymbor, aby poświęcić nasz zakład, który jeszcze nie był ukończony na tyle, aby mógł funkcjonować.

Był obecnym p. Dyrektor Generalny i jego sekretarz generalny. Wszyscy księża polscy z okolicy asystowali Ks. Rektorowi, a delegacja Sióstr z Montceau przybyła również. Po ceremonji wszyscy wrócili do Montceau, bo robotnicy w pośpiechu kończyli roboty.

Dopiero 14-go kwietnia zainstalowałyśmy się ostatecznie w Les Gautherets.

Cóż to za miejscowość — to Les Gautherets?

Les Gautherets, to nowa kolonja zamieszkała prawie wyłącznie przez Polaków. Jest tu zaledwie kilku Francuzów i ci twierdzą, że są w Polsce. Dlaczego? Dlatego, że w kaplicy, na ulicach, w składach i w szkołach mówi się po polsku. Są tu dwie duże szkoły, jedna dla chłopców, druga dla

dziewcząt. Oprócz polskiej jest tu ludność włoska i trochę Francuzów. Proboszczem polskim jest Ks. Ryba, który przybył w trzy dni po nas, 17-go kwietnia.

Nasz zakład nie był ze wszystkiem wykończony. Nie mogłyśmy więc odrazu zacząć „kropli mleka", instytucji, która miała być głównem naszem zajęciem. Siostra Teofila Jodzewicz w czasie pobytu w Montceau les-Mines zaznajomiła się u Sióstr Sercanek z organizacją „kropli mleka", którą Sercanki prowadzą w Montceau, bo ona miała potem w Les Gautherets to samo zrobić. Ale człowiek strzela, a Pan Bóg kule nosi. Tak to było i w tym wypadku. Zresztą wrócę do tego później. Przypadło jej w udziale inne zajęcie.

Zrana dnia 19-go kwietnia ktoś dzwoni. Otwieram drzwi. Młody człowiek oddaje mi świstek papieru. Na nim wypisano parę numerów pieśni, które miały być śpiewane na sumie. Powiada mi: To Siostry dziś muszą grać, bo tu niema nikogo, coby to umiał. Nie czekając wcale na moją odpowiedź, zniknął, a było to 5 minut przed sumą. Taki był początek mojego śpiewu i chóru w Les Gautherets. Proszę mi pozwolić, że przedstawię moich chórzystów zacnych. To naprzód mężczyźni od 30 do 50 lat, którzy pracują w kopalni. Podziwiam ich. Czasem, to zdarza się co 3 tygodnie z powodu zmiany szychty, ci biedni ludzie i dzielni górnicy przepracowawszy całą noc, w pośpiechu się myją i o godzinie 8-mej rano w poniedziałki i środy przychodzą na próby śpiewu, nie przespawszy ani jednej minuty po ciężkiej pracy. Są i matki, które z dzieckiem na ręku przychodzą na lekcje śpiewu. Najmniej przychodzi dorastających dziewcząt, ale i one śpiewać przychodzą na chwałę Bogu.

Również 19-go kwietnia mieszkańcy kolonji chcieli przyjść uroczyście przywitać nowego proboszcza polskiego Ks. Rybę, a tak samo i Siostry. Po nieszporach odbyło się to święto w ogromnej sali kinowej, która na ten dzień okazała się za małą. Ze sztandarami na czele przyszli po nas do naszej bramy. W pochodzie z głośną orkiestrą zaprowadzili nas na nasze miejsca przed sceną. I znowu mowy, życze-

nia, kwiatów nam złożono w obfitości, a potem liczne śpiewy, bo każdy chciał coś dodać od siebie. Dano też amatorskie przedstawienie, p. t. „Św. Stanisław Biskup". W tym dniu prosiłam prezesa Komitetu, aby podziękował w mojem imieniu, bo byłam niezdolna przemówić choć jedno słowo przed tak licznem zebraniem. Nasz ksiądz też był dziś witany, więc wypadło mu nieraz przemawiać.

Ponieważ przybyliśmy dopiero co na miejsce, Ks. Ryba i my, więc trzeba nam było porozumieć się o katechizację. W tym roku dzieci kolonji Les Gautherets i Les Baudras były bardzo opóźnione w katechiźmie. Wyznaczyłyśmy Siostrę Bronisławę do pomocy księdzu polskiemu w katechizacji dzieci. Tak więc katechizm regularny rozpoczął się od dnia 30-go kwietnia. Uważamy go za jedno z najcenniejszych zajęć, jakie Opatrzność Boża nam tu powierzyła. Przez katechizację bowiem można dużo dobrego zrobić dla dusz i dla Pana Boga.

Ale djabeł zazdrosny o sprawy Boże, a zwłaszcza o dobro, jakie się czyni w duszach ludzkich, zasiał był niezgodę między członkami bractwa różańcowego. W chwili przybycia naszego do Les Gautherets istniały tu dwa bractwa odnoszące się do siebie wrogo. Nasz ksiądz, tak samo jak my, prągnął pokoju i zgody. Modlił się długo i rozmyślał nad tem, aż wreszcie dnia 1-go maja po pierwszem nabożeństwie poprosił mnie, żebym mu dopomogła do pogodzenia obu stron powaśnionych i żebym w tym celu przyjęła tytuł przełożonej różańcowej, oraz żebym go zastępowała w niektórych wypadkach delikatnych na zebraniach, które mogłyby przybrać charakter burzliwy. Co robić? Dla chwały N. Panny i dla spokoju w kolonji trzeba było przyjąć, ale zrazu zadanie było bardzo trudne dla wszystkich. Dziś już wszędzie miła zgoda panuje.

Nadeszło Święto Narodowe 3-go Maja. Robotnicy wszędzie świętowali. Chór nasz z Les Gautherets zaproszony został do Montceau-les-Mines, aby tam w kościele śpiewać na mszy św., potem brać udział we wspaniałym pochodzie przez



„Dzieci Marji“ w Les Gautherets po odegraniu „Marji Magdaleny“.

ulice miasta ku wielkiemu zdumieniu Francuzów. Wszystko się świetnie udało. Siostry były na mszy św., a potem poszły do Sióstr w Hospice Ste-Marie na obiad, wreszcie o godz. 3-ciej wróciły do Les Gautherets.

Na Zielone Swiątki, dnia 1-go czerwca chcieli śpiewacy ofiarować się N. Marji Pannie, obierając Ją za patronkę chóru pod wezwaniem Niepokalanej. Prezes chóru po nieszporach odczytał formułkę ofiarowania się u stóp ołtarza, a wszyscy członkowie otrzymali z rąk naszego Ks. Dziekana piękny medal Niepokalanej, naszyty na zgrabną kokardę niebieskiego koloru. Ten piękny dzień zaczął się u Stołu Pańskiego rano, a zakończył się wzruszającą przemową wieczorem. Od tego dnia nasze słabe śpiewy są pod opieką Najświętszej Panienki, naszej świętej Patronki.

Dnia 11-go czerwca, to święto Bożego Ciała. Pragnęliśmy wszyscy, a razem z nami Ks. Dziekan święcić ten dzień uroczyście, jak w Polsce. Ale jak to zrobić, skoro nie mamy do dyspozycji odpowiednich przedmiotów. Na prędce Ks. Dziekan sfabrykował ramy drewniane, Siostry naciągnęły na nie dwa obrusy, ja poszłam do Montceau, aby kupić coś bardzo ładnego, a niebardzo drogiego na boki naszego baldachimu. Dzięki Bogu wieczorem wszystko gotowe, a następnego dnia wczas rano wszyscy krzątają się, aby przystroić wszystko i wszędzie, którędy przechodzić będzie Pan Bóg. Francuzi patrzą się ze ździwieniem, co to wszystko ma znaczyć. Domy są ładnie przystrojone i procesja przechodzi przez ulice kolonji. Co za piękny pochód! Wszystkie stowarzyszenia stawiły się z chorągwiami i sztandarami. Straż honorową tuż obok baldachimu tworzyli nasi Sokoli w stroju świątecznym, ubrani biało, z pasami niebieskiemi lub czerwonemi. Włosi śpiewali w swoim języku pieśni przy trzecim ołtarzu. Wierzę w to, że dobry Bóg miał nieco pociechy w tym dniu.

Dnia 29-go kwietnia Polacy wszystkich kolonij okolicznych: Les Baudras, Essarts, Magny, La Saule, La Lande, Montchanin, Blanzy, Le Creusot zebrali się w Les Gauthe-

rets, aby pójść do Paray-le-Monial i poświęcić się Sercu Jezusowemu. Jedni idą parę kilometrów pieszo razem z Ks. Dziekanem, potem pojadą pociągiem. Inni w samochodach udają się na stację i łączą się poprzedniemi. Inni wreszcie w samochodach do Paray-le-Monial. Mieliśmy tu swoje zupełnie swojskie nabożeństwa ze śpiewami polskiemi. W czasie wielkiej procesji szliśmy daleko za Najświętszym Sakramentem za wszystkiemi bractwami, aby nikomu nie przeszkadzać przez nasze śpiewy. Wszyscy modliliśmy się dużo w intencji dzieci, które przygotowują się do wielkiego dnia pierwszej komunji św. W tym roku będzie ich 120, bo kolonja Les Baudras nie mająca swojego księdza musiała z konieczności rzeczy przyłączyć się do Gautherets.

Korzystając z wolnego dnia 14 lipca, kiedy starsi od pracy są wolni, a dzieci od szkoły, wybrał Ks. Dziekan ten dzień, aby razem z dziećmi i rodzice przystąpić mogli do spowiedzi i do komunji św. Jedna z sióstr pomagała Ks. Dziekanowi w czuwaniu nad dziećmi, w grze na harmonji i w przygotowywaniu tych maluchów.

Skończyły się rekolekcje trzydniowe. Dnia 14 lipca wczas rano poruszona jest cała kolonja, bo dzieci mają się zgromadzić o 7 godz. 30 min. w podwórzu szkoły chłopców. Stąd prowadzi się je w pochodzie, z muzyką na czele i ze sztandarami do kościoła, który już był pełny. Po nabożeństwie wszyscy udali się do sali tej, która jest naprzeciwko naszej poradni lekarskiej. Sala przystrojona była kwiatami, a na miejscu honorowem obraz Królowej Korony Polskiej, otoczony sztandarami polskiemi. Siostry przygotowały dla dzieci śniadanie: ciepłą czekoladę, pierniki, sucharki. Cisną się wszyscy, bo fotograf już czeka.

W parę dni potem 18-go lipca pan Dyrektor Generalny przysłał do Sióstr list, w którym powiada, że sale dawniejszej kantyny szkolnej w Les Gauherets oddaje Siostrom na dzieła, któreby chciały w nich założyć i że nikt niema prawa korzystania z tych dwu sal bez upoważnienia Siostry Przełożonej. Dzięki Bogu za to, w ten sposób bowiem

jesteśmy u siebie, możemy dzieci przyjmować, ile chcemy. Potem 31 lipca było zakończenie roku szkolnego i rozdawanie nagród. Trzeba tam iść, bo dwa miejsca są zarezerwowane, jedno dla Ks. dziekana, drugie dla Siostry Przełożonej.

Skończyła się szkoła, więc przez to samo wszystkie dzieci przeszły w nasze ręce. Dlatego to dnia 2-go sierpnia Ks. Dziekan po nieszporach przyszedł poświęcić nasz nowy lokal. Przybyło dużo naszej publiczności. Po krótkiej przemowie dokonał się akt intronizacji Serca P. Jezusa. Takto pod opieką Matki Boskiej Anielskiej zaczął się nasz patronaż, a Siostra Teofila, która w Montceau-les-Mines przygotowała się do tego, aby prowadzić „Kroplę Mleka", musiała zająć się dziećmi i wziąć je pod swoje skrzydła opiekuńcze. Nazajutrz mnóstwo dzieci większych i mniejszych stawiło się do szkoły wakacyjnej, a całe dwa miesiące następne były prawdziwą wieżą Babel, bo wszystkie dziewczęta polskie, francuskie i włoskie przypuszczano do korzystania z patronażu naszego. Każda przynosiła ze sobą swoje robótki, a więc szycie, hafty, trykotaże, klocki, wyszywanie, każda według swojego gustu i uzdolnienia. Gorzej było z tem, że starsze dziewczęta polskie rozmawiały po niemiecku, a żadna z nas nie znała tego języka. Jaka to szkoda, że te panny tak przyzwyczaiły się do tego języka niemieckiego, że między sobą nawet i w domu, tam, gdzieby powinny mówić swoim językiem ojczystym, rozmawiają po niemiecku. W czasie wakacji zorganizowałyśmy kilka wielkich wycieczek dla naszych małych ludzi. Kiedy Siostry nasze z wielkiem poświęceniem oddawały się pracy nad dziewczętami, P. Bóg zgotował im wielką radość. (C. d. n.)

†

Ks. Piotr Mystkowski C. M.

(Tłumaczenie z francuskiego).

Wieczorem 5-go września 1927 roku, zasnął w Panu w Warszawskim domu SS. Miłosierdzia przy Tamce, ks. Piotr Mystkowski, lat 90, w 67 roku kapłaństwa i 73 powołania.

Urodzony 22 stycznia 1837, wstąpił jako 27-letni młodzieniec do Seminarjum św. Krzyża, gdzie kształcił się pod kierownictwem Putiatyckiego, Dorobisa i innych wybitnych sił profesorskich. Działalność swą kapłańską rozpoczął w Tykocinie w charakterze profesora wychowawcy. Powstanie w r. 1863 nie znalazło w nim ideowego zwolennika, jednak po wybuchu insurekcji uważał za swój obowiązek stanąć w szeregach czołowych. Został mianowany kapelanem naczelnym oddziałów powstańczych w obwodzie Augustowskim. Represje popowstańcze w zaborze rosyjskim powodują likwidację działalności naszego Zgromadzenia na tym terenie; księża zaś, a w ich liczbie ks. Mystkowski. zostają internowani w Łowiczu. Podczas gdy szereg konfratrów udaje się zagranicę sam on podejmuje się pracy wśród unitów na Podlasiu jako kapłan świecki. Poświęca się pracy dla kościoła unickiego z całym zapałem i gorliwością, zbiera przytem cenne dokumenty dotyczące historji ruchu unickiego, by je później wydać własnem staraniem we Lwowie. Zarówno w tej pracy jak i po przeniesieniu do archidiecezji warszawskiej nie zrywa on łączności ze Zgromadzeniem, które wymieniając imię jego wśród pracujących poza rodziną naszą,

zachowuje mu jednak stale tytuł superjora. Zostaje proboszczem w Kamionce, później w innych dwu parafjach, wreszcie przez 24 lat z rzędu prowadzi parafję w Zaborowie. Oddaje się pracy z całkowitem zaparciem siebie, własnym kosztem odnawia kościół zaborowski, poświęcając na to niemal cały swój majątek — 40.000 rubli ros., wzorowo prowadzi gospodarkę parafjalną, popiera czynnie bartnictwo krajowe, z zamiłowaniem urządzając własną pasiekę w doskonale zagospodarowanym swym ogrodzie owocowym. Oszczędności swe stale oddawał Centrali SS. Miłosierdzia w Warszawie, działalność której interesowała go we wszystkich szczegółach.

Błogosławieństwo Boże było nagrodą za jego oddanie się i gorliwość w pracy parafjalnej. Podczas gdy w sąsiednich parafjach marjawici zdobywali coraz to nowych zwolenników, z jego trzódki żadna owieczka nie stała się ofiarą tej sekty. Nie mogąc porwać żadnej duszy u tego wiernego i czujnego pasterza, pałali marjawici do niego nienawiścią i chęcią zemsty. Toteż, gdy pewnego razu w solennej procesji prowadził wiernych swoich parafjan na odpust do sąsiedniej parafji, napadli go zbrojni sekciarze, łamiąc cnotliwemu starcowi dwa żebra, a nawet przebijając czaszkę. Przez dziewięć miesięcy po tym napadzie, pokaleczony duszpasterz walczył ze śmiercią w szpitalu.

Mawiano, że jego parafja jest wieczną misją. W okresie postu zbierał codziennie od 6 godziny rano na katechizację swych wiernych, podzielonych na grupy; sam się poświęcał w pracy całodziennej, byleby ułatwić każdemu spowiedź wielkanocną. Wysokie uświadomienie religijne jego parafjan, ich gorliwość i ofiarność były mu zasłużoną nagrodą, uznanie zaś dla wyników jego pracy, wyrażone przez arcybiskupa Popiela, podczas wizytacji pasterskiej — godną oceną.

Rozstał się ze swoją parafją w r. 1919 już jako 82-letni starzec, przenosząc się na dożywocie do Centralnego Domu SS. Miłosierdzia; przywiózł tam z sobą resztki swego majątku: krówkę, oraz pszczoły.

Jeszcze przez trzy lata pracował dla Domu czy to w konfesjonale, czy nauczając katechizmu dzieci, które chętnie garnęły się do sędziwego katechety; nie opuszczał też codziennej mszy św., wybierając zawsze godzinę najstosowniejszą dla licznych wiekowych lub chorych Sióstr, znajdujących przytułek w Domu na Tamce. Prawdziwą radość sprawiało mu zamieszkanie w pobliżu Księży Misjonarzy, gdyż mógł osobiście witać powracających do Warszawy konfratrów, manifestując w swym stosunku do nich swe niezmienne przywiązanie do Zgromadzenia. Kiedy mu się udawało czasami uzyskać tak niedostępną na owe przedwojenne czasy wizę zagraniczną, korzystał z niej zawsze, by spędzić swój tydzień wypoczynkowy w Domu Macierzystym w Krakowie. Tu też obchodził swój złoty jubileusz kapłański, zaś 60-lecie wśród konfratrów w Warszawie. Ostatnie swe lata spędził w modlitwach za ukochaną ojczyznę, nie zaniedbując aż do chwil ostatnich ulubionej lektury.

W osobie ks. Mystkowskiego pożegnaliśmy ostatniego z dawnego grona Misjonarzy-wychowanków z Warszawskiego Domu św. Krzyża. Kościół traci w nim jednego z najlepszych swych synów, duchowieństwo — wzorowego kapłana, Księża Misjonarze, najbardziej zasłużonego konfratra. Po namaszczeniu Olejami św. ostatni miesiąc swego życia spędził zatopiony w Bogu. W dniu śmierci, żegnając wieczorem Siostrę, która się nim opiekowała, żegnał ją na zawsze, prosząc ją odmówić De profundis za duszę jego, oraz konającej staruszki S. Miłosierdzia. Były to jego ostatnie słowa. Zasnął w Panu tak spokojnie, jak żył, bez cierpień agonji.

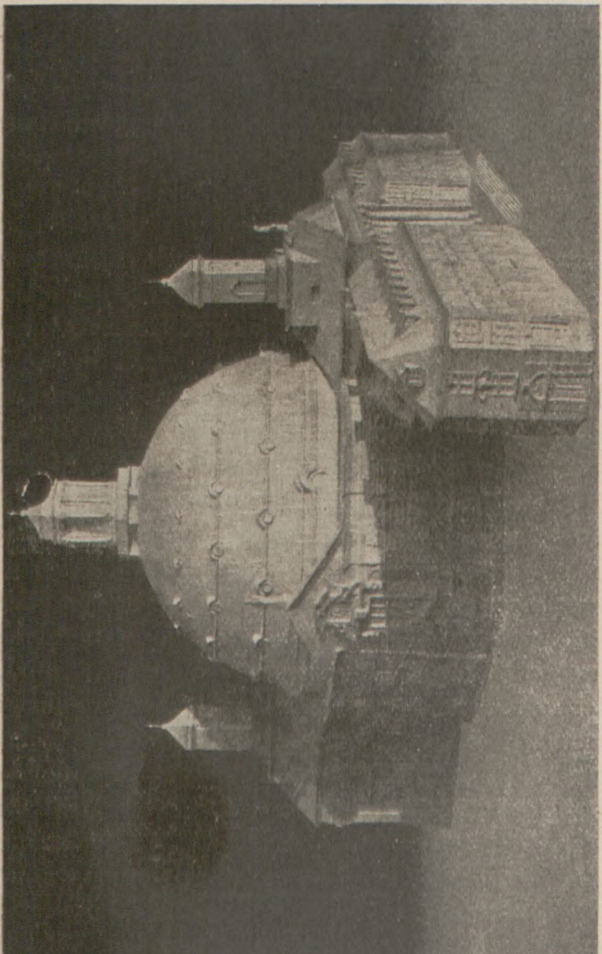
Requiescat in pace.

KRONIKA.

Wiadomości z Bydgoszczy.

Na pamiątkę 300-letniego Jubileuszu Zgromadzenia Misji, prowincja Polska postanowiła wznieść kościół i zakład wychowawczy pod wezwaniem swego założyciela św. Wincentego a Paulo. Miejscem urzeczywistnienia projektu miała się stać Bydgoszcz, w którem to mieście ś. p. Ks. Kardynał Dr. Edmund Dalbor powierzył nowoerygowaną parafję św. Wincentego Księżom Misjonarzom, a Magistrat i Rada Miejska wspaniałomyślnie i bezinteresowanie darowała na powyższy cel piękny i obszerny plac przy ulicy Ossolińskich. Plany wykonał architekt p. Adam Ballenstaedt, budowę zaś powierzono p. Maksymiljanowi Garsteckiemu z Poznania. Dwa lata temu wśród podniosłych ceremonij, udziału licznego duchowieństwa i całej ludności katolickiej poświęcił kamień węgielny Najprzewielebniejszy Ks. Biskup Laubitz, sufragan gnieźnieński, i z tą chwilą objęli też Księża Misjonarze obowiązki duszparterskie w nowoerygowanej parafji. Dziś już jest wykończone wspaniałe prezbiterjum wraz z dwoma budynkami frontowemi i majestatyczny portal, łączący je w jedną piękną architektoniczną całość. Świątynia ta wzrastająca w mury stoi naprzeciwko dawniejszej wieży Bismarka, jakoby wskazywała, że idea miłości Chrystusowej zawsze zwyciężała i zwyciężać będzie brutalną siłę ciemiężców. Obecnie prace w jednym skrzydle zakładu dochodzą końca i jest nadzieja, że z początkiem roku szkolnego otworzymy

I. kl. przyszłych wychowanków. Również ostatnia część fundamentów zostanie położona w najbliższym czasie. Przy kopaniu ziemi pod nie, nigdzie woda się nie okazywała, z wy-

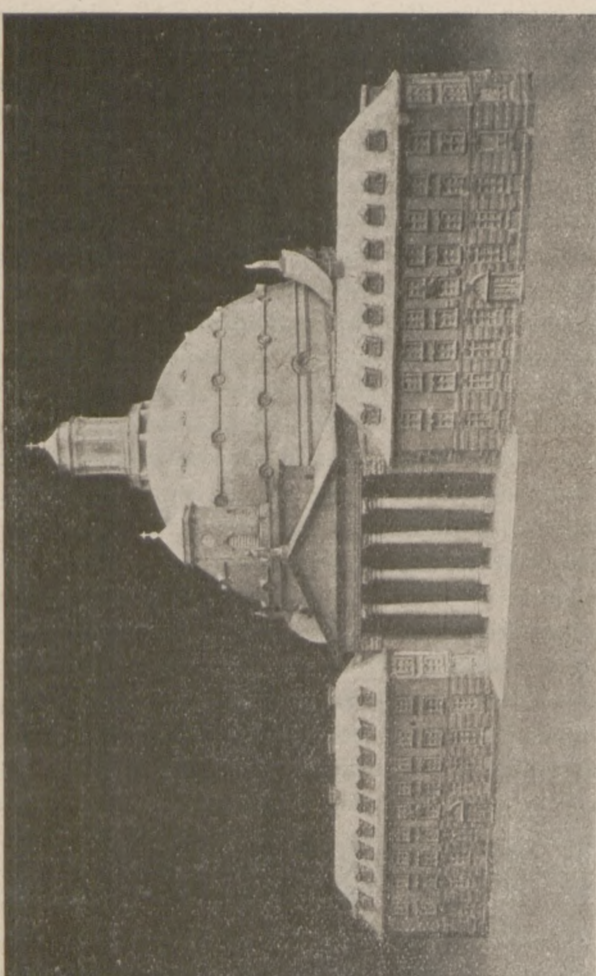


Bydgoszcz. — Widok od strony zachodniej.

jątkiem wody deszczowej, co po silniejszych opadach zdarza się przy każdej budowie. Dotychczas praca duszpasterska skupiała się w kaplicy przy Internacie Kresowym,

wśród wielkiego natłoku parafjan, gdzie i tak zaledwie nikła cząstka tychże mogła spełnić obowiązki religijne. Wobec czego przystąpiono do zbudowania prowizorjum, łącząc je z prezbiterjum już zbudowanem tak, że pomieścić może około dwa tysiące osób. Za parę miesięcy przeprowadzą się Księża Misjonarze do nowego zakładu z dotychczasowego mieszkania, a tak wspaniałomyślnie zaofiarowanego przez Siostry Miłosierdzia w szpitalu św. Florjana, i rozpoczną pracę już w prowizorycznym kościele. Budowa walczy z trudnościami finansowemi, bo dzieło to naprawdę wielkie; większa jednak jeszcze Opatrzność Boska, która doprowadzi dzieło do pomyślnego kresu. Nasi Ojcowie również budowali i to przez długie lata, ale też pozostawili po sobie monumentalne gmachy, które dzisiaj są chlubą Zgromadzenia, jak np. Kościół św. Krzyża w Warszawie, dom stradomski w Krakowie, dom we Wilnie i wiele innych. Również i my nie zrażamy się ogromem przedsięwzięcia, boć ono jest przecież pomnikiem 300-lecia naszego istnienia, wyrazem hołdu i wdzięczności dla św. Wincentego. Z tem większą też otuchą pracujemy wobec tego, że kamień węgielny poświęcono 27/IX., w dzień chwalebnego zgonu naszego Ojca, a pierwszą cegłę pod portal położono w dzień przeniesienia relikwji Jego. — Na tem miejscu wypada nam serdecznie podziękować cichej, a tak wydatnej współpracy naszych Konfratrów prowincji Polskiej na obu półkulach, oraz Siostrom Miłosierdzia wszystkich trzech prowincyj. One to chcąc mieć udział w uczczeniu wspólnego nam Ojca zbierają na wszystkich swoich stanowiskach skromne złotówki na istniejący przy naszym kościele Związek mszalny, które do obecnej chwili przedstawiają wcale pokaźną sumę. Również dziękujemy wszystkim przewielebnym Księżom proboszczom i innym dobrodziejom świeckim, którzy z zaparciem siebie i z wielkiem poświęceniem zbierają fundusze. I nic dziwnego, że zapał tak święty ogarnie wielu, przecież cel tego dzieła tak wzniosły i szlachetny! Żyjemy już w wolnej Polsce, jesteśmy znowu gospodarzami na swojej własnej ziemi, którą Bóg od wieków przeznaczył dla nas na

mieszkanie, którą od wieków nasi dziadowie i pradziadowie uprawiali, całem sercem kochali i w jej obronie krew przelewali. Możemy w wolnej Polsce już bez przeszkody tworzyć



Bydgoszcz. — Widok od strony południowej.

dzieła, któreby Ojczyźnie zapewniły jasną przyszłość. A cóż Ojczyźnie lepiej posłuży, jeżeli nie wychowanie młodzieży w duchu katolickim i narodowym? Przecież młodzież jest nadzieją

i podwaliną przyszłości naszej, młodzież to przyszli obywatele kraju; jaką młodzież będzie, taką będzie również przyszłość Ojczyzny. Nie można zatem pozwolić na to, aby młodzież nasza wpadła w ręce fałszywych opiekunów. To było powodem, że Księża Misjonarze krom uczczenia św. Wincentego kościołem, podjęli się również zbudowania Zakładu wychowawczego, by przysposobić Zgromadzeniu przyszłych Misjonarzy, a Ojczyźnie obywateli stojących na straży naszych interesów religijnych i narodowych. Rozpoczęto budowę, gdy wszystko w Polsce było jeszcze względnie tanie: i materjały i robotnik. Wnet potem nastąpiła nagle zmiana stosunków ekonomicznych, wszystko podrożało tak, że dziś bardzo trudno zebrać potrzebne fundusze. Wobec tego jeden z naszych konfratrów z Bydgoszczy wybrał się na jeden rok do Ameryki północnej, gdzie misjami, rekolekcjami i ofiarami z pracy płynącemi przyczynił się wydatnie do dalszej rozbudowy dzieła. Bydgoszcz, gdzie się ów kościół i zakład buduje, to bardzo ważna placówka w naszem Państwie. Miasto leży nad rzeką Brdą, wpadającą do Wisły, która znowu jest jedyną w Polsce drogą wodną do morza, a stąd na świat cały. Zrozumiał to dobrze Bismarck: jak wielką pod względem ekonomicznym przyszłość posiada Bydgoszcz i postanowił to miasto wraz z ludnością zniemczyć i nierozdzielnie połączyć z Prusami. Nakazał więc zabić duszę polską tego ludu i zamienić go w posłusznych parobków, którzyby uprawiali urodzajne niwy polskie i produkowali chleb dla odwiecznych wrogów naszych. Rząd pruski nie żałował ani pieniędzy ani ludzi, byleby Bydgoszcz stała się ogniskiem germanizacji i protestantyzacji na całe Pomorze i Poznańskie. W Bydgoszczy właśnie odbywaly się posiedzenia i narady sławnej polakożerczej Hakaty. Tu uchwalono zakaz używania polskiej mowy na publicznych zebraniach, tu wydano prawo wywłaszczenia Polaków z siedzib ich ojców, tu ostrzono nóż na zabicie wszystkiego, co tchnęło życiem katolickiem i polskiem. Warunki życia katolickiego przed wojną były tu bardzo smutne i opłakane. Na 27.500 katolików miała Byd-

goszcz tylko jedną parafję farną z jednym kościołem, który wiernych pomieścić nie mógł. Niemcy katolicy mieli swój kościół pojezuicki, innych świątyń nie było. Co więcej Prusacy zburzyli kościól pokarmelicki i postawili na jego miejscu dzisiejszy teatr miejski, a piękną świątynię zw. „Klaryskami“ zamienili na skład rupieci dla straży pożarnej. Dziś ten kościół odnowiony służy młodzieży szkolnej do nabożeństwa. Natomiast Prusacy zbudowali w mieście i na przedmieściach 9 wielkich zborów luterskich, a w drodze łaski własnym kosztem wystawili kościół Serca Jezusowego, a więc drugi dla Niemców katolików, by tem łatwiej przez religję niemczyć Polaków do niego uczęszczających. Po długich dopiero staraniach rząd pruski pozwolił na budowę kościoła św. Trójcy; złamanego nawet grosza nań nie dał, nakazując Polakom ponosić koszta budowy. Kościół ten stanął dzięki wielkiej ofiarności w względnie krótkim czasie. Wola jednak Boża pokrzyżowała pyszne zamierzenia Prusaków: Wielkopolska i Pomorze wróciły do Macierzy. Dusza jednak dzieci tej ziemi ucierpiała i potrzebuje umocnienia w wierze i patrjotyzmie. Zakład, który budujemy ma się przyczynić w wielkiej mierze do utwierdzenia wiary i polskości w tej dzielnicy. Ufni w Opatrzność i dalszą, a tak szlachetną pomoc naszych dobrodziejów, spoglądamy z wiarą w przyszłość. Czeka nas jeszcze olbrzymie zadanie: zbudowanie rotundy i nakrycie jej kopułą, jak to wskazują ryciny zamieszczone.

Bydgoszcz, 20 stycznia 1928. *X. X.*

Męczeństwo S. Mił. Ludwiki w Tientsin w roku 1870 i jej objawienie się bratowej w tymże czasie we Francji.

Już od rana zaczęły się rozruchy. Z drugiej strony rzeki paliła się rezydencja misjonarzy. Siostry już nie miały złudzenia. Gdy około trzeciej godziny motłoch zaczął się zbliżać, jedna z nich daje znać towarzyszkom. Wywalono drzwi. Siostra Marquet idzie naprzeciw mordercom i zwraca się do nich słowami: „Oszczędźcie moje siostry“. Jako odpowiedź

rozpłatano jej głowę jednem cięciem szabli i ucięto nogi i ręce. Reszta została bardzo szybko, prawie momentalnie, zabita pod ciosami nożów, lanc i pałek. W kącie kaplicy leżała Siostra Viollet ze zmiażdżoną głową. Jeszcze przed czwartą godziną męczenniczki otrzymały swe palmy.

A tymczasem w Touraine (Francja), w tej samej chwili, było to około północy, przyszła jedna z ofiar do swej bratowej Marji Teresy Viollet, przyjaciółki lat dziecinnych.

Oto co ona o tem widzeniu pisze. W czerwcu 1870 r. byłam z dziećmi w Vouvray, w domu letnim mych rodziców. Było to może 21 lub 20, albo nawet 22 czerwca. Tego napewno nie wiem.

Prawdopodobnie było to 21 czerwca. Miałam sen bardzo przykry, ogarnął mnie wielki smutek, duszno mi było i czułam ogólny silny ból, tak straszny, że nie mogę tego określić. Nie wiem jak długo to trwało, ale sądzę, że nie bardzo długo.

Potem obudziłam się, spojrzałam na zegarek, a ponieważ była dopiero 5 godzina, więc miałam jeszcze czas do wstawania. Wtedy to doznałam znowu silnego, nader nieprzyjemnego bólu.

Wnet jednak zasnęłam. Ból ustał i zrobił miejsce ogromnemu jakiemuś uczucia szczęściu, które ogarnęło całą mą duszę. Zdawało mi się, że zupełnie naturalnie podniosłam oczy i widziałam wstępującą jakąś osobę, bardzo piękną, ubraną w bieli, otoczoną białemi kwiatami, głównie liljami i różami. Widziałam bardzo wyraźnie głowę i ramiona, a reszta mglista, eteryczna. Była to nasza droga Paulina. Wznosiła się powoli do nieba; uśmiechała się do mnie i zdawało się jakby mi chciała coś powiedzieć. Na chwilę wstąpiła we mnie wątpliwość, czy to jest ta nasza droga siostra, której to obraz widziałam.

Ledwie mi taka myśl przyszła, a ja z podziwieniem za nią patrzałam, słyszałam jak do mnie mówiła: „Jakto, ty mnie nie poznajesz? Jestem twą siostrą Pauliną". I w jednej chwili ta sama osoba pokazała mi się w sukni Sióstr św.

Wincentego a Paulo; poznałam ją teraz natychmiast. Widziałam ją taką przed ośmiu laty, kiedy wyjeżdżała do Chin. Lecz teraz twarz jej jaśniała ze szczęścia. Ciągle na mnie patrząc, mówiła do mnie: „Czy teraz poznajesz dobrze twą siostrę Paulinę; modliłam się za ciebie do Boga — i z twarzą pełną niebiańskiej dobroci dodała — możesz mnie teraz o wszystko prosić, o co tylko zechcesz, ja jestem teraz w niebie".

Wizja zacierała się coraz więcej, wstępując ku niebu, aż wreszcie znikła całkowicie.

Zbudziłam się cała podniecona tem, com widziała i byłam przez kilka chwil w stanie niewypowiedzianej radości i szczęścia. Myślałam tylko o niebie, w którem cieszyła się nasza droga siostra. Trzeba było pewnego wysiłku woli, by powrócić do codziennej pracy; chciałam pozostać na zawsze tak blisko nieba.

Dopiero po pewnym czasie refleksji przyszło mi na myśl, że aby dostać się do nieba i cieszyć się tak ogromnem szczęściem, trzeba wpierw umrzeć.

Wówczas przypomniało mi się to przykre wrażenie, jakiego doznałam przedtem; zrozumiałam wtedy, że to co odczułam, było obrazem jej męczeństwa, i na chwilę nawet nie wątpiłam o jej śmierci i dostaniu się do nieba.

W ciągu dnia opowiedziałam wszystko mojej matce, która podzielała moje przekonanie pod tym względem. Postanowiłyśmy, że nic nie powiemy mojemu mężowi, który był w Tours. Kiedy po dwóch dniach wrócił, nic mu nie mówiłam bojąc się, by mu nie sprawić smutku, bo zdawało mi się, że ten sen na pewno oznajmił nam śmierć naszej drogiej siostry Pauliny.

Kilka dni później, t. j. przy końcu czerwca 1870 r. przybyła przełożona Sióstr Miłosierdzia z Tien-Tsin do Tours; prawie wszyscy z naszej rodziny tam poszli. Ja musiałam zostać w domu przy dzieciach. Ta dobra przełożona opuściła przed miesiącem Chiny i przyniosła jak najlepsze wiadomości o siostrach, a szczególnie z domu św. Józefa w Tien-

Tsin, i o naszej siostrze. Okoliczność ta sprawiła to, że nie przywiązywałam już żadnego znaczenia do mego snu i dlatego też trudno mi jest dziś oznaczyć ścisłą datę.

Wiadomem jest, jakie smutne wieści nadeszły z Chin w lipcu i w sierpniu r. 1870. Dowiedzieliśmy się wtedy, że to 21 czerwca właśnie została nasza droga siostra Paulina umęczona wraz z swemi towarzyszkami u stóp ołtarza kaplicy Sióstr Miłosierdzia w Tien-Tsin.

Pani Viollet, która miała to objawienie, umarła w 60-tym roku życia 12 maja 1921. Syn jej został jezuitą, a 3 córki wstąpiły do klasztoru.

Ofiarne nawrócenie i powołanie do stanu zakonnego Chinki.

Do naszych Sióstr krajowych przybyła pewna dziewczyna, ażeby się nauczyć pracy. Będąc jedynaczką została wypieszczona przez swych rodziców i stąd była grymaśną i upartą. Kiedy przyszła do nas, miała już kilka lat szkoły normalnej za sobą. Łatwo otrzymała pozwolenie od rodziców na wstąpienie do nas. Umysł żywy i prosty tej małej poganki poznał szybko prawdziwość i piękność naszej religji, a odrzucił błędne prawdy pogaństwa. Po pewnym czasie prosiła mnie o chrzest św. Lecz ja nie spełniłem tak szybko, jak rodzice, jej pragnienia. „Czy jesteś zamężna?“ — „Nie, jestem zaręczona pewnemu poganinowi, lecz mogę z nim zerwać, ponieważ chciałabym zostać siostrą“. — „O, odpowiedziałem jej, to się tak łatwo nie da“. — „Zobaczysz Ojcze“. — Więc dobrze! Zacznijmy od nawrócenia twych rodziców, później zobaczymy, czy możemy cię ochrzcić“. — W następną niedzielę przyszła do kościoła już ze swą matką, zaprowadziła ją na naukę katechizmową i nauczyła ją kilka modlitw. Jej ojciec pracował w innem mieście, lecz dał jej pozwolenie listownie na przyjęcie chrztu św. „A co na to mówi jej narzeczony?“ — zapytałem się matki, która nieustannie mnie prosiła o chrzest dla córki. „On jej zostawia wolność“. Wywnioskowałem więc, że ze spokojnem sumieniem mogę jej udzielić chrztu św. W tem dniu prosiła

mnie, by mogła pojechać do Ningpo i zostać siostrą zakonną. Odpowiedziałem jej, żeby nawróciła naprzód swych rodziców. Matka bowiem chociaż uczęszczała regularnie do kościoła i na nauki katechizmowe, okazywała jednak bardzo mało gorliwości. Kiedy po roku prosiła mnie o chrzest, odłożyłem go jeszcze na rok. Po roku zaś, nie chcąc już dłużej odkładać, ochrzciłem ją. Bezpośrednio po chrzcie św. prosiła mnie znowu córka, by mogła pójść do klasztoru. „A twój ojciec" — zapytałem się. Napisała wtedy list do ojca, żeby poprosić o pozwolenie. Otrzymała odpowiedź przychylną. Natychmiast zaczęła robić przygotowania. Wszystko szło dobrze, aż do przedednia wyjazdu, kiedy jej babka, poganka zaciekła, zagroziła, że się rzuci do wody, jeżeli jej wnuczka pojedzie do Ningpo. Na drugi dzień rano, babka uczepiła się wnuczki, kiedy ona wychodziła z domu. Młoda, silniejsza i zwinniejsza byłaby odniosła zwycięstwo, gdyby babce w ostatniej chwili nie była przyszła na pomoc matka. Matka została chrześcijanką tylko w tej nadziei, że zatrzyma swą córkę w domu. Ojciec bowiem i matka nie mieli odwagi sprzeciwić się wyjazdowi córki, lękając się, by się jeszcze więcej nie zacięła w swem postanowieniu. Liczyli bowiem na to, że córka, która nigdy się nie wydaliła z domu nawet na jeden dzień, odczuje w chwili rozłąki ogromny żal i zostanie w domu. Właśnie z tej chwili słabości chciała matka skorzystać i rzucić się do nóg córki, prosząc ją o pozostanie. Tak też zrobiła. Lecz przyszła zakonnica odpowiedziała, że kiedy nasz Zbawiciel nie zawahał się poświęcić swego życia za nas, to byłoby niewdzięcznie z naszej strony, nie chcieć czegokolwiek dla niego poświęcić. Matka widząc wtedy, że się zawiodła, zrozumiała, że niema innego środka, jak zrzucić maskę. Dlatego to uczepiła się z babką szat swej córki, by ją zmusić do pozostania w domu, gdzie ją strzeżono. Posłała teraz matka po ojca, lecz zanim zdążył przybyć, mała bohaterka skorzystała ze stosownej chwili i uciekła na mały statek, który ją przewiózł do Haimen. Zdawało się, że jakiś demon opętał matkę, która bluźniła i miotała straszne prze-

kleństwa przeciw religji. Wrócił w tym dniu także ojciec. Na ich usilne prośby posłaliśmy telegram do misji w Haimen, żeby przeszkodzili wyjazdowi córki do Ningpo. Poczem ojciec, matka i babka, pojechali za nią do Haimen, gdzie ze łzami i obietnicami skłaniali córkę do powrotu. Ksiądz z Haimen widząc niemożliwość przyjęcia w takich warunkach, radził jej powrócić z rodzicami do domu.

Po powrocie do domu próbował ojciec naprzód przekonać, dając różnego rodzaju propozycje. Nadaremnie. Zirytowany tem ojciec, chwycił kawał drewna z ogniska, powalił córkę na ziemię i bił bez miłosierdzia. Każdego wieczoru powtarzał tę samą scenę tak, że rana przy ranie była na plecach tej małej bohaterki. Sąsiedzi poganie próbowali złagodzić dziką nienawiść ojca i nie kryli przed nikim swego podziwu dla tej młodej dziewicy tak pobożnej, pracowitej i posłusznej. W sobotę wieczorem, tydzień po zaczęciu tego męczeństwa, ojciec po ponownem pobiciu, zagroził jej, że jeżeli się na drugi dzień odważy pójść do kościoła, to jeszcze coś gorszego ją czeka. W niedzielę rano kiedy rodzice jeszcze spali, bardzo cicho wysunęła się z domu i przybyła do kościoła, by się wyspowiadać, Komunję św. przyjąć i mszy św. wysłuchać. Po mszy św. prosiła mnie o przebaczenie za krzywdy, których się jej rodzice dopuścili względem mnie, zakonnic i religji św. „Wybacz Ojcze, oni nie są tak źli, lecz nie rozumieją naszej religji św., ani nie wiedzą, co robią". Prosiła mnie także, by mogła pójść do Ningpo i zostać zakonnicą. Lecz mówiłem jej, żeby teraz nie mówiła, że chce zostać zakonnicą, lecz żeby się modliła i była cierpliwa. Napomniałem ją, by jak najprędzej wracała do domu, by uniknąć nowych katuszy. Ku jej wielkiemu zdziwieniu, ojciec jej nie tylko nie bił, lecz nawet pozwolił chodzić na mszę św., byleby to było wczas. Nakłaniał ją, żeby wstąpiła do klasztoru bonzek, gdzie miała ciotkę. Chciała tę propozycję pozornie przyjąć, żeby mogła z domu wyjść i potem swój plan zrealizować, lecz ja jej odradziłem, mówiąc jej, że rodzice powoli ustąpią i pozwolą wstąpić do klasztoru. W istocie

dowiedziałem się od kilku przyjaciół, że jej ojciec zaczynał się wstydzić swego postępowania i uważał za stosowne wytłumaczyć się, zwalając winę na brata swej żony, który mu w złem świetle przedstawił religję chrześcijańską

W chwili szlachetnego poruszenia przybył nawet do nas, żeby przeprosić zakonnice. Co do matki, to córka ją przekonała, że o ile ojca można wytłómaczyć, to ją, która przecież jest chrześcijanką, nie można w żaden sposób wytłómaczyć. „Odtąd — mówiła dalej — będziesz matko ze mną mówić co wieczór modlitwy". Po modlitwie dodawała córka zawsze: Św. Tereso, pomóż mi, bym została zakonnicą". Po chwilach ciszy, następowały jednak jeszcze kilka razy burze. I tak podczas ostatniej rzucił ojciec w zapamiętaniu córkę na ziemię i poza strasznem pobiciem, chwytał ją jeszcze to za włosy, to za nogę i rzucał z jednego końca pokoju do drugiego tak, że skóra była w kilku miejscach zdarta. Kilka dni potem, nie wspominając nic o tej scenie, powiedziała całkiem spokojnie: „Spodziewam się, że wkrótce będę mogła wstąpić do Zgromadzenia, bo zaczynają rozumieć, że ja od swego nie odstąpię".

Takich to ofiar żąda Bóg za cenę prawdziwego powołania.

Żywcem pogrzebany. — Śmierć męczeńska księdza-chińczyka i jego sługi w r. 1927.

Dnia 20-go kwietnia 1927 r. studenci przekonań komunistycznych umęczyli w Kiangsi w okrutny sposób księdza Józefa Hou. Szczegóły tego męczeństwa podaje nam ksiądz Russo w jednym z listów do swego biskupa. „Studenci pogańscy — pisze on — prawie w każdą niedzielę napadali na kościół księdza Hou; czynili to wskutek rozporządzeń swych przewódców pod pozorem politycznych agitacyj werbunkowych. Aby jeszcze bardziej zaniepokoić dzielnego szermierza Chrystusa przywódcy owi wydawali coraz ostrzejsze rozporządzenia — a zwłaszcza w czasie Wielkiej Nocy. Wreszcie posunęli się studenci w swej bezczelności do tego,

że mieszkanie Ks. Hou oblepili antykatolickiemi plakatami, grożąc mu równocześnie surowemi karami, gdyby się ktokolwiek odważył je zerwać. Chrześcijanie powstrzymywali się jak mogli, by nie wybuchnąć gniewem świętego oburzenia, a również dobry ich pasterz nawoływał jak mógł do cierpliwości. Mimo to jednak zdarzały się poza jego obrębem rezydencji to tu, to tam sprzeczki, wśród których nawet jednego ze studentów zraniono.

Skrępowany i powieszony. Kiedy pewnego dnia podążał Ks. Hou w stronę posterunku policji, by tam zażądać zapobieżenia nadużyciom, spostrzeżony przez zgraję studentów został przez nich napadnięty i skrępowany. Doprowadziwszy go do miejsca, na którem odbywały się widowiska teatralne, kazali mu wejść na podwyższenie, gdzie zwykle aktorowie występowali. Tu go wieszano dla żartu na grubych sznurach, aby w ten sposób zabawić motłoch, który się wnet ze wszystkich stron licznie zgromadził. Wśród obecnych zauważono także jego wiernego sługę, z którym podobnie postąpili, wieszając go obok pana. W takim stanie pozostawili oprawcy nieszczęśliwe ofiary przez kilka godzin. Podczas tego przemawiali studenci do zebranych mas ludu naigrawając się z naszych współwyznawców, jakoteż i z religji. Niektórzy z zebranych chciwi łupu oddalili się, aby zniszczyć i zrabować kościół katolicki, jak i dom mieszkalny księdza. Po upływie dłuższego czasu zaprowadzono mężnych wyznawców Chrystusa na okręt, którym zawieziono ich do miasta Wan-an, tu bowiem znajdował się sąd. Studenci, ich profesorowie, a nadto wielu podżegaczy z organizacyj komunistycznych podążyli za nimi na dwu dalszych okrętach.

Do krwi ubiczowany. Gdy okręt przybył na miejsce, a Ks. Hou stanął przed sądem, usiłowano go zmusić do tego, aby siebie podał jako sprawcę całego rozruchu, czemu on śmiało i odważnie zaprzeczył. Otwartość ta jednak nie uszła mu płazem, albowiem jeden z niższych urzędników sądowych zaczął się nad nim znęcać, biczując go niemiłosiernie. Za jego przykładem poszli również ziejący do chrze-

ścijan nienawiścią, komunistyczni studenci. Postępowaniu temu przyklaskiwał zebrany tłum, składający się ze samych rewolucjonistów. Okrutne razy były tak dalece gwałtowne, że po kilku uderzeniach rozszarpały ciała męczenników, a krew z ran tryskająca pobryzgała bliżej stojących. Z nadludzką cierpliwością zniósł to, wzywając imienia Jezus, Ks. Hou, jak również i jego sługa. I tak wyczerpanych z wszelkich sił fizycznych odnieśli ich oprawcy do więzienia. Kilkakrotne usiłowania, by przywieść wiernych sług Boga do zaparcia się wiary były daremne. Zakłopotany mandaryn nie wiedząc co począć z biednemi ofiarami pytał gubernatora prowincjonalnego, jak mu wypada postąpić. Odpowiedź brzmiała: „Czyń wolę ludu"; ten ostatni zaś tworzyli sami bolszewicy.

Wreszcie nadszedł dzień 20 kwietnia, w którym rozegrać się miała kilka godzin trwająca tragedja. Zwołano więc najpierw wszystkie nowo utworzone organizacje, gromadzące się pod czerwonym sztandarem, do których zaliczali się robotnicy, rolnicy, nawet niewiasty i studenci. Tych ostatnich zebrało się parę tysięcy. Potem kazano wyprowadzić z więzienia skazańców, by ich skrępowanych w pochodzie zaprowadzić na miejsce stracenia. W chwili opuszczania lochu więziennego zwrócił się Ks. Hou do mandaryna prosząc o sprawiedliwość. Lecz zamiast odpowiedzi mandaryn zerwał z niego ubranie, zostawiając na nim jedynie spodnie. Towarzysza jego potraktowano podobnie. Przekonał się przeto Ks Hou, że wszelkie uciekanie się do ludzi zawodzi, a pozostał tylko Bóg, któremu się już zupełnie był oddał. To też podczas drogi całej modląc się wzywał świętych Imion Jezusa, Marji i Józefa, co widząc i słysząc otaczający go studenci i profesorowie, szyderczo się śmiali.

Kiedy pochód przybył na oznaczone miejsce, padł Ks. Hou na kolana, otrzymując w tej samej chwili dwa śmiertelne ciosy kolbą karabinową. Z dwóch uderzeń, które wymierzono jego słudze, jedno chybiło, drugie nie mniej silne padło na jego barki, lecz nie pozbawiło go życia. Następnie złożono bezwładne ciała do trumien. Księdza, który już obli-

cze Boga swego oglądał, uwolniono z kajdan, natomiast sługę jego, jeszcze żywego zamknięto do trumny tak, że gdy go zamykano dawał znaki życia, a nawet mówił. W końcu pochowano obie trumny w niezbyt głęboko wykopanym grobie. To też jeszcze przez dłuższy czas, jak stwierdzają przechodnie, dały się słyszeć jęki żywo pogrzebanego młodzieńca. Wszystko to działo się w czasie wielkiej niepogody, dzięki której oszczędzono ofiarom wielu męczarń".

W dzień przed śmiercią napisał ks. Hou do swego konfratra Włocha, księdza Russo ołówkiem list następującej treści: „Ponieważ kocham Boga i moje owieczki uwięziono mię. W nocy z 18-go na 19-go kwietnia wymierzono mi dwa razy z małą tylko przerwą 50 batów. Nie smuć się jednakże z tego Drogi Konfratrze, albowiem przygotowałem się już na męczarnie. Proszę Cię tylko zachęcaj moich wiernych do modliwy, aby mi u Boga łaskę wytrwania wyprosili. Gdybym umarł zobaczę ich znów w niebie, gdzie wraz z nimi wiecznie cieszyć się będę".

Drogi Czytelniku! Nie minęły więc jeszcze dni męczenników. Od dwóch tysięcy lat niema prawie roku, w którymby gdziekolwiek na szerokiej ziemi nie znalazł się jaki wierny syn lub córka Kościoła, składający życie swe w ofierze ukrzyżowanemu Chrystusowi. Chociaż współubolewamy nad śmiercią umęczonych ofiar, to jednak w smutku rozjaśnia czoła nasze myśl, że święta nasza Matka-Kościół po wszystkie czasy rodzi dzieci, które chętnie za nią życie swe ofiarują. My zaś w ich wielkiej ofierze weźmy udział w ten sposób, że będziemy sumiennie spełniali nasze obowiązki. Albowiem i to jest ofiarą, choć czemże ona jest w stosunku do tej, którą dzielni wyznawcy składają.

Do Szanownych Czytelników „Roczników“.

1) Redakcja prosi o łaskawe wyrównanie prenumeraty, z którą **zalega połowa czytelników.**
2) „Roczniki“ będą odtąd wychodziły regularnie co kwartał.
3) Prenumerata roczna 10 zł. (2 dol.). Numer pojedynczy 3 zł. Wpłata na konto czekowe 150.142, ks. Król. Kraków.
4) Uprasza się księży konfratrów o nadsyłanie artykułów odpowiednich do „Roczników“; zwłaszcza księży superjorów o „kroniki domowe“, dyrektorów misyj o sprawozdania z tychże, etc., etc.
5) Sekretarjaty **wszystkich** trzech prowincyj SS. Miłosierdzia, prosi redakcja o łaskawe sprawozdania z pracy Sióstr, nekrologi zmarłych Sióstr i t. d.
6) W latach 1916, 1917, 1918, 1919 nie wyszedł żaden numer „Roczników“. W 1920 i 1921 po 4 numery, w 1922, dwa numery, w 1923 i 1924 po jednym numerze, w 1925 r. dwa numery, w 1926 i 1927 po cztery numery.